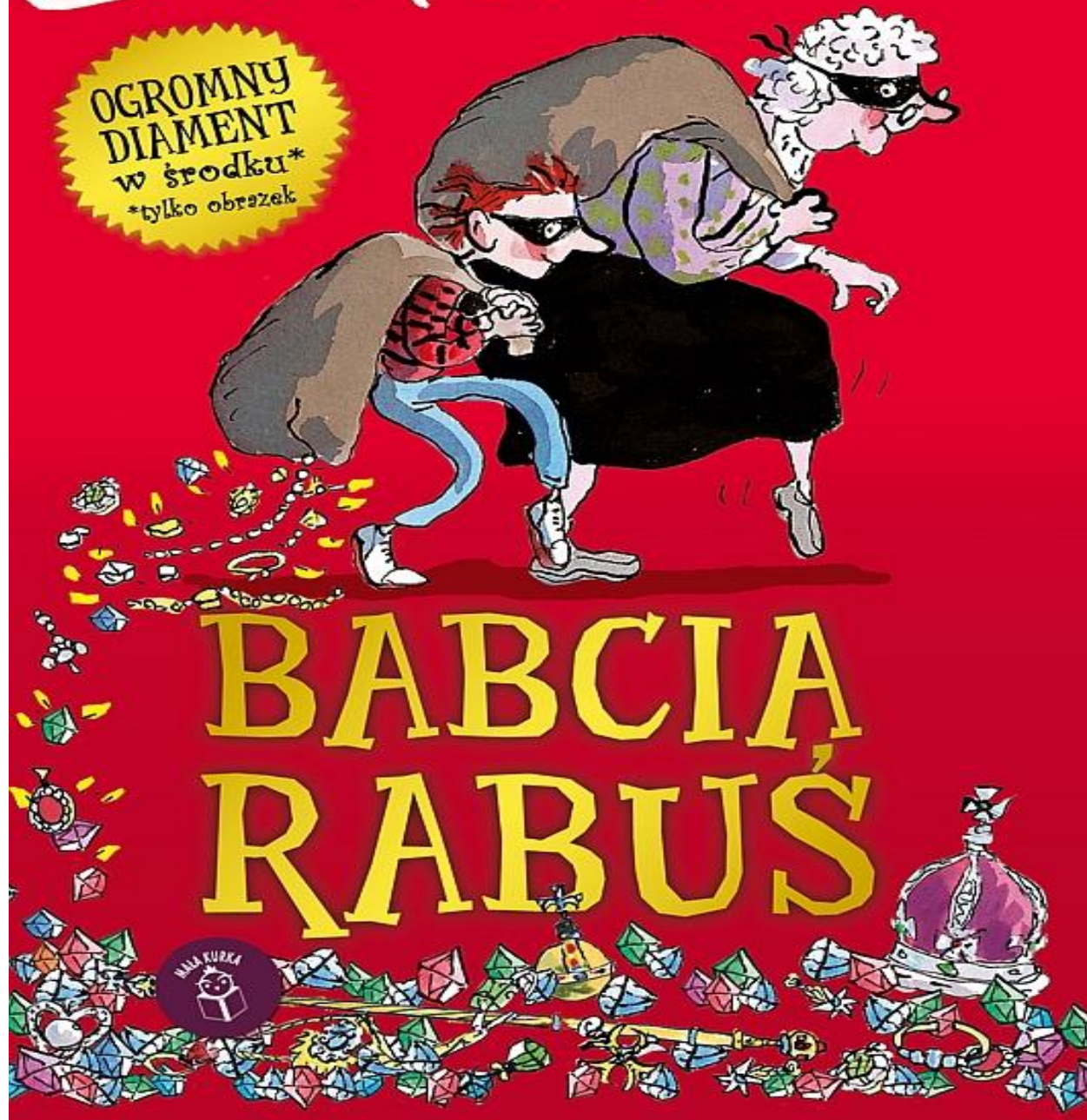


Najbardziej poszukiwana Babcia świata!

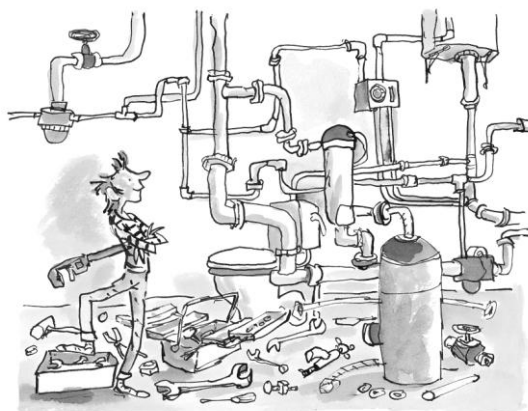
David Williams

OGROMNY
DIAMENT
w środku*
*tylko obrazek



BABCIA
RABUS

BABCIA, RABUS



David Williams

BABCIA RABUŚ

Ilustracje: Tony Ross

Z języka angielskiego przełożyła
Karolina Zaremba



Dedykacja

Dla Philipa Onyango...

... najdzielniejszego chłopca, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

Podziękowania

Pragnę podziękować paru osobom, które pomogły mi w pracy nad tą książką.

W pierwszej kolejności dziękuję wielce utalentowanemu Tony'emu Rossowi za jego magiczne ilustracje. Ann-Janine Murtagh, genialnej dyrektor działu literatury dziecięcej w HarperColins. Nickowi Lake'owi, mojemu ciężko pracującemu wydawcy i przyjacielowi. Fantastycznym grafikom Jamesowi Stevensowi, który pracował nad okładką, i Elorine Grant, odpowiedzialnej za tekst. Skrupulatnej adiustatorce, Lizzie Ryley. Samancie White za świetną reklamę moich książek. Uroczej Tanyi BrennandRoper, produkującej wersje audio. Dziękuję także mojemu, zawsze wspierającemu mnie, agentowi literackiemu Paulowi Stevensowi z Independent.

Jednak najbardziej wdzięczny jestem Wam dzieciaki za czytanie moich książek. To niezwykle zaszczyt móc spotykać się z Wami przy podpisywaniu egzemplarzy, dostawać od Was listy i rysunki. Naprawdę uwielbiam snuć dla Was opowieści i mam nadzieję, że fantazja podpowie mi kolejne. Czytanie dobrze wam robi, więc oby tak dalej!

1

Kapuściana Woda

— Ale Babcia jest taaaka nuuuudna — powiedział Ben pewnego zimnego listopadowego wieczoru, gdy, jak co piątek, siedział zgarbiony na tylnym siedzeniu samochodu rodziców. Znowu musiał spędzić noc u swojej okropnej babci. — WSZYSCY starzy ludzie to nudziarze.

— Jak ty mówisz o własnej babci — skarcił go bez przekonania Tata, zakleszczony między kierownicą a siedzeniem kierowcy we wnętrzu ich małego, brązowego auta.

— Nie znoszę u niej zostawać — protestował Ben. — Ma zepsuty telewizor, nic tylko godzinami grałaby w scrabble, a do tego śmierdzi kapustą!

— Nie da się ukryć, że chłopak ma trochę racji, ona naprawdę śmierdzi kapustą — zgodziła się Mama, wykańczając swój makijaż za pomocą konturówki do ust.

— Nie pomagasz, moja droga, oj nie pomagasz — mruknął Tata. — Moja matka co najwyżej rozsiewa lekki zapaszek gotowanych warzyw.

— Nie mógłbym iść z wami? — błagał Ben. — Uwielbiam te, jak im tam, tańce w towarzystwie — skłamał.

— Mówi się „tańce towarzyskie” — poprawił Tata. — A ty wcale ich nie lubisz. Powiedziałeś, cytuję: „Wolałbym jeść własne gluty, niż oglądać ten badziew”.

Rodzice Bena wprost UWIELBIALI tańce towarzyskie. Czasem odnosił wrażenie, że kochali taniec bardziej niż jego. Sobotni wieczór w telewizji poświęcony był w całości programowi Taniec najślawniejszych sław, w którym znanych ludzi dobierano w pary z zawodowymi tancerzami. Rodzice nigdy nie przegapili ani jednego odcinka.

Gdyby, dajmy na to, w domu wybuchł pożar, a Mama mogłaby uratować połyskujący złotem but do stepowania, noszony niegdyś przez Flavio Flaviolego (pochodzącego z Włoch łamacza kobiecych serc, wymuskanego, opalonego tancerza, który występował w każdej edycji tego popularnego, telewizyjnego show) albo własne dziecko, Ben przeczuwał, że wyniosłaby z płomieni złoty pantofel. Tego wieczoru rodzice zamierzali obejrzeć Taniec najślawniejszych sław na żywo! Na scenie!

— Ben, nie wiem, dlaczego nie porzucisz wreszcie swojej, wartej tyle co przerdzewiałe rury, fascynacji hydrauliką i nie pomyślisz poważnie o tańcu — powiedziała Mama, rysując się konturówką po policzku, gdy auto podskoczyło na szczególnie garbatym garbie ograniczającym prędkość. Mama miała zwyczaj malować się w trakcie jazdy samochodem, co oznaczało, że często kończyła podróż przypominając clowna. — Może nawet kiedyś zatańczyłbyś w Sławach! — dodała podekscytowana.

— Bo to głupie tak podrygiwać albo płaszać — stwierdził Ben, na co Mama jęknęła i sięgnęła po chusteczkę.

— Zamiast denerwować matkę, lepiej siedź cicho jak grzeczny chłopiec — upomniał go Tata i podgłośnił muzykę.



Jak można się było spodziewać, w odtwarzaczu nadal tkwiła płyta z melodiami z ich ulubionego show. Z okładki krzyczał napis: „50 niezapomnianych hitów z przebojowego programu rozrywkowego”. Ben nienawidził tych nagrań. Słyszał je wszystkie milion razy i stały się dla niego wymyślną torturą.

Mama Bena pracowała w pobliskim salonie MANIKIUR „Paznokcie od Gail”. Nie było tam zbyt wielu klientów, więc, wraz z drugą panią, która tam pracowała (łatwo się domyślić, że na imię jej było Gail), większość czasu spędzały na robieniu sobie nawzajem paznokci. Polerowaniu, czyszczeniu, przycinaniu, nawilżaniu, nakładaniu odżywek, wypełnianiu, nabłyszczaniu, piłowaniu, lakierowaniu, przedłużaniu i malowaniu. Dłubały przy nich cały dzień (chyba że w telewizji akurat pokazywano jakiś występ Flavio Flaviolego), co oznaczało, że Mama zawsze wracała do domu, mając palce dłuższe o wielobarwne tipsy.

Tata pracował jako ochroniarz w miejscowym supermarkecie. Jak dotąd, największym osiągnięciem w jego dwudziestoletniej karierze było zatrzymanie pewnego staruszka, który usiłował wynieść ze sklepu ukryte w spodniach dwie kostki margaryny. A choć Tata był obecnie za gruby na ściganie złodziei, to z pewnością mógł skutecznie zatarasować im drogę ucieczki. Rodzice poznali się, gdy Tata niesłusznie oskarżył Mamę o kradzież paczki chipsów. Po roku znajomości byli już małżeństwem.

Samochód skręcił za róg, by wjechać na Grey Close, gdzie zagnieździł się przysadzisty, parterowy dom Babci. Stał w długim rzędzie podobnych smutnych domków, w których mieszkali głównie emeryci.

Auto stanęło, a Ben ostrożnie zerknął w stronę domu. Dostrzegł swoją Babcie, tęsknie wyglądającą przez okno salonu. Już czekała. Za każdym razem tak właśnie wypatrywała jego przyjazdu. *Jak długo tam stoi?*, zastanawiał się chłopiec. *Od zeszłego tygodnia?*

Ben był jej jedynym wnukiem i z tego co wiedział, staruszka nie miewała innych gości.

Babcia pomachała na przywitanie i posłała Benowi łagodny uśmiech, który chłopiec niechętnie odwzajemnił.

— Dobra, jedno z nas odbierze cię jutro rano, koło jedenastej — powiedział Tata, nie gasząc silnika.

— Nie może być dziesiąta?

— Ben! — warknął Tata i odblokował drzwi. Ociągając się, chłopiec wysiadł z samochodu. Drzwi po jego stronie wcale nie trzeba było blokować, w końcu Ben miał już jedenaście lat i wystarczająco dużo rozumu, by nie otwierać ich w trakcie jazdy. Podejrzał, że ojciec chciał w ten sposób powstrzymać go przed wyskakiwaniem z auta w drodze do Babci. Usłyszał za sobą głośne KLAP i warkot silnika.

Babcia pojawiła się w progu, nim zdążył zadzwonić. Potężna kapuściana chmura buchnęła Benowi prosto w twarz. To było jak nokaut odorem.

Babcia Bena wyglądała klasycznie od stóp do głów:



— Mamusia i Tatus nie wejdą? — spytała, wyraźnie strapiona. Między innymi tego właśnie Ben u Babcini nie znosił: zawsze mówiła do niego jak do małego dziecka.

Bruuum-bruum-bruuuuuummmmm.

Staruszka i chłopiec patrzyli, jak brązowy samochodzik oddala się pospiesznie, podskakując co chwila na ograniczających prędkość garbach. Rodzice lubili spędzać czas z Babcinią tak samo jak i Ben. Wykorzystywali jedynie możliwość podrzucania do niej syna w piątkowe wieczory.

— Eee, nie... przykro mi, Babcini — rzekł niepewnie Ben.

— Cóż, w takim razie wejdź — wymamrotała. — Rozłożyłam nam już planszę do gry w scrabble, a na podwieczorek będzie twoja ulubiona... zupa kapuściana!

Mina zrzęda Benowi jeszcze bardziej.

Nieeeeeeeeeee!, pomyślał.

Kacze Odgłosy

Nie minęło wiele czasu, a babcia i wnuk, w grobowej ciszy, zasiedli naprzeciwko siebie przy stole w jadalni. Ben nie pamiętał, aby ich wspólny piątek kiedykolwiek wyglądał inaczej.

Gdy jego rodzice nie oglądali Tańca najślawniejszych sław w telewizji, chadzali do restauracji na curry albo do kina. Piątkowe wieczory były ich wieczorami „randkowymi” i odkąd Ben sięgał pamięcią, rodzice podrzucali go wtedy do Babci. Zatem jeśli nie Taniec Najślawniejszych Sław Na żywo! Na scenie! Całkiem na żywo! to Taj Mahal (lokal przy głównej ulicy, serwujący curry, a nie zabytek z białego marmuru w Indiach) i zajadanie kilogramów hinduskich chlebków.

Wewnątrz domku słychać było tylko tykanie, stojącego na kominku, podróżnego zegara i szczyknięcia metalowych łyżek o porcelanowe talerze, urozmaicane od czasu do czasu przenikliwym gwizdem, pochodzącym z babcinego zepsutego aparatu słuchowego. Celem urządzenia zdawała się być nie poprawa słuchu staruszki, lecz spowodowanie głuchoty u wszystkich wokół.

To była jedna z rzeczy, które doprowadzały Bena do szału. Należało dodać jeszcze kilka:

1. Babcia miała zwyczaj plucia w używaną chusteczkę, którą trzymała wetkniętą w mankiet swetra, by następnie wycierać nią twarz swego wnuczka.
2. Od 1992 roku nie naprawiła telewizora. Pokryty był warstwą kurzu tak gęstą, że przypominała futro.
3. Jej dom pełen był nudnych książek, do których przeczytania stale Bena namawiała, chociaż czytanie budziło w nim prawdziwą odrazę.
4. Babcia wymagała od wnuka noszenia ciepłego, zimowego płaszcza, niezależnie od pory roku, nawet podczas upałów, „żeby się nie spocił”.
5. Śmierdziała kapustą (w promieniu kilku kilometrów u wszystkich uczulonych na kapustę z miejsca wywołałaby ostrą reakcję alergiczną).
6. Zdaniem Babci, ekscytująca przygoda podróżnicza to karmienie kaczek z pobliskiego stawu kawałkami pleśniejącego chleba.
7. Babcia stale puszczała wiatry, nie przyznając się do tego.
8. Jej wiatry nie śmierdziały tylko kapustą. To był smród zepsutej kapusty.
9. Babcia nalegała, by kłaść się spać tak wcześnie, że właściwie w ogóle nie opłacało

się wstawać.

10. Na Gwiazdkę robiła na drutach swemu jednemu wnuczkowi pulowery w pieski lub kotki, w których rodzice zawsze kazali Benowi chodzić całe Świąta.

— Jak zupa? — spytała staruszka.

Przez ostatnie dziesięć minut Ben mieszał, stojący przed nim w nieco poobtłukiwanym talerzu, bladezielony płyn z nadzieją, że może jakimś cudem wyparuje.

Nic z tego.

Na dodatek wystygł. Zimne kawałeczki kapusty pływały sobie w zimnej, kapuścianej brei.

— Jest... pyszna, dziękuję — odpowiedział Ben.

— To dobrze.



Tik-tak, tik-tak.

— To dobrze — powtórzyła Babcia.

Szczęk. Szczęk.

— Bardzo dobrze. — Babci rozmowa przychodziła tak ciężko jak Benowi.

Szczęk, szczęk. Gwizd.

— Co w szkole? — spytała.

— Nuda — mruknął Ben. Dorośli zawsze pytali o szkołę, mimo że dla dzieci to absolutnie znienawidzony temat. Wiadomo, że kiedy chodzisz DO szkoły, to nie masz ochoty o niej gadać.

— Aha — odparła Babcia.

Tik-tak, szczęk, szczęk, gwizd, tik-tak.

— Pora zajrzeć do piekarnika — powiedziała, po tym jak długa chwila milczenia przeciągnęła się w OKROPNIE długą chwilę milczenia. — Twoje ulubione ciasto kapuściane już się piecze.

Powoli uniosła się z krzesła i ruszyła do kuchni. Przy każdym kroku pomiędzy jej obwisłych pośladków wydobywało się nieco powietrza. Brzmiało to jak kwakanie. Babcia albo nie zdawała sobie z tego sprawy, albo naprawdę dobrze udawała, że nie zdaje sobie z tego sprawy.

Ben patrzył za nią przez moment, po czym cichutko zakradł się na drugi koniec pokoju. Nie lada to wyczyn, bo dookoła piętrzyły się stopy książek. Babcia Bena KOCHAŁA książki i wiecznie przesiadywała z nosem w jednej z nich. Były powciskane na półki, poukładane na parapetach i poupychane po kątach.

Jej ulubionym gatunkiem literackim były kryminały. Powieści o bandziorach, gangsterach, rabusiach okradających banki, mafii i tym podobnych. Ben nie rozumiał różnicy między bandziorem a gangsterem, ale bandziór wydawał się o wiele gorszy.

Chociaż chłopiec nienawidził czytania, uwielbiał oglądać okładki babcinych książek.

Królowały na nich szybkie samochody, niebezpieczna broń, olśniewające kobiety. Nie mógł uwierzyć, że jego stara, nudna Babcia lubiła opowieści, które wyglądały tak intrygująco.

Skąd u niej ta obsesja na punkcie bandziorów?, zastanawiał się Ben. Oni nie mieszkają w parterowych domkach. Rabuś nie grywa w scrabble i prawdopodobnie nie śmierdzi kapustą.

Czytanie szło Benowi mozolnie, a uwagi nauczycieli sprawiały, że czuł się jak głupek, nie mogąc nadążyć za kolegami. Pani dyrektor nawet zostawiła go na drugi rok w tej samej klasie, w nadziei, że chłopiec nadgoni z czytaniem. Rezultat był taki, że wszyscy jego koledzy chodzili teraz do innej klasy, a Ben czuł się w szkole tak samotny jak w domu, z rodzicami, których obchodziły jedynie tańce towarzyskie.

W końcu, po mrożącej krew w żyłach chwili, gdy omal nie przewrócił stosu opartych na faktach kryminałów, Ben dotarł do stojącej w rogu pokoju rośliny. Pospiesznie wlał pozostałą porcję zupy do donicy. Roślina i tak wyglądała na umierającą, a nawet jeśli jeszcze nie konała, babcina kapuściana zupa z pewnością była w stanie ją wykończyć.

Nagle Ben usłyszał charakterystyczne kaczce odgłosy, oznajmiające, że Babcia wracała do jadalni, więc popędził z powrotem do stołu. Siadł z pustym talerzem przed sobą i łyżką w garści, starając się przybrać najbardziej niewinną minę, na jaką było go stać.

— Skończyłem już zupę, dziękuję, Babciu. Była pyszna!

— To dobrze, mój drogi — odparła staruszka, gdy na chybotliwych nogach powoli przyczłapała do pokoju z rondlem na tacy. — Niosę ci dokładkę! — I uśmiechając się, nałożyła mu kolejną porcję.

Ben w panice przełknął ślinę.

Tygodnik Hydraulika

— Nie mogę znaleźć „Tygodnika Hydraulika”, Raj[1] — powiedział Ben.

Nadszedł piątek i chłopiec przeczesał półki z czasopismami w miejscowym kiosku. Nigdzie nie widział swojego ulubionego magazynu. Tygodnik przeznaczony był dla zawodowych hydraulików i z każdym kolejnym numerem Ben coraz bardziej ulegał urokowi stron pełnych rur, kranów, rezerwuarów, zaworów, bojlerów, zbiorników i studzienek. Jedyna przyjemna lektura, głównie dlatego, że wewnątrz roilo się od zdjęć i schematów.

Z chwilą, gdy dorósł na tyle, żeby móc utrzymać coś w rękach, Ben pokochał hydraulikę. Kiedy inne dzieci bawiły się w kąpieli gumowymi kaczkami, on poprosił rodziców o kawałki rur, z których tworzył kręte sieci kanałów wodnych. Jeśli w domu przeciekał kran, Ben go naprawiał. Jeśli zapychała się toaleta, chłopiec nie czuł obrzydzenia, lecz zachwyty!

Jednakowoż rodzice nie pochwalali jego kanalizacyjnych zainteresowań. Chcieli dla niego sławy i bogactwa, a nigdy nie słyszeli o sławnym i bogatym hydrauliku. Ben był równie zręczny w majsterkowaniu, co do kitu w czytaniu, a wizyty fachowca usuwającego przeciek wprawiały go w stan totalnego bzika. Z najwyższym podziwem obserwował wykonywane czynności, jak stażysta śledzący ruchy doświadczonego chirurga podczas skomplikowanej operacji.

Mama i Tata byli tym faktem zawiedzeni. Desperacko pragnęli, żeby syn zrealizował ich niespełnione ambicje i został zawodowym tancerzem. Odkryli swoje zamiłowanie do tańca towarzyskiego zbyt późno i sami nie mogli już zostać mistrzami. Szczerze mówiąc, wyglądało na to, że woleli oglądać tańczące pary, niż dźwignąć zadki z kanapy i ruszyć na parkiet.

W zaistniałej sytuacji Ben wolał zachować swoją pasję dla siebie. Aby nie ranić uczuć rodziców, chomikował numery „Tygodnika Hydraulika” pod łóżkiem. Umówił się też z Rajem, że sprzedawca co tydzień będzie odkładał dla niego kolejny egzemplarz. A teraz nie mógł go nigdzie znaleźć.

Ben sprawdził za tygodnikiem muzycznym i pismami plotkarskimi, a nawet zajrzał pod „Panią” (nie prawdziwą panią, ma się rozumieć, tylko pod magazyn dla kobiet zatytułowany „Pani”), lecz na próżno. W sklepie panował kompletny chaos, mimo to ludzie z całej okolicy przychodzili robić zakupy właśnie tutaj, ponieważ Raj każdemu potrafił poprawić humor.

Teraz stał na rozkładanej drabince i rozwieszał świąteczne dekoracje. Mówiąc „świąteczne” tak naprawdę mam na myśli to, że używał transparentu z napisem „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin”, na którym „urodzin” za pomocą korektora i długopisu zamienił na słowo „Świąt”.

Raj ostrożnie zszedł z drabinki, by pomóc Benowi w poszukiwaniach.

— Twój „Tygodnik Hydraulika”... Zaraz, zaraz... niech pomyślę, a sprawdzałeś obok karmelków? — spytał Raj.

— Tak — odparł Ben.

— I nie ma go pod kolorowankami?

— Nie.

— Pod balonową też sprawdzałeś?

— Tak.

— Bardzo dziwna sprawa, drogi chłopcze. Wiem, że zamówiłem dla ciebie jeden egzemplarz. Hm, tajemnicze zniknięcie... — Raj mówił bardzo powoli, jak to robią ludzie, gdy się nad czymś zastanawiają. — Tak mi przykro, Ben. Wiem, że uwielbiasz ten magazyn, ale nie mam pojęcia, gdzie się podział. Mam za to promocyjną ofertę na zakup rożków.

— Mamy listopad, Raj, na dworze straszna lodowa! — odparł Ben. — Kto by chciał teraz jeść lody?

— Każdy, gdy dowie się o mojej promocji! Posłuchaj tylko: kup dwadzieścia trzy rożki, a otrzymasz jeden gratis!

— A po co mi dwadzieścia cztery rożki?! — roześmiał się Ben.

— No, nie wiem. Może zechcesz zjeść tuzin od razu, a pozostałe dwanaście schowasz do kieszeni na później?

— To strasznie dużo rożków, Raj. Dlaczego tak ci zależy, żeby się ich pozbyć?

— Jutro mija termin ważności — wyjaśnił Raj, przeciskając się do zamrażarki, po czym odsunął szklane wisko i wyciągnął pudło z lodami. W jednej chwili cały sklepik spowila mroźna mgła.

— Spójrz! Najlepiej spożyć przed końcem: piętnasty listopada.

Ben przyjrzał się pudełku.



— Tu jest napisane, że termin przydatności minął piętnastego listopada 1996 roku.

— Cóż — odparł Raj — tym bardziej powinny znaleźć się w promocji. OK, Ben, oto moja ostateczna oferta. Kup karton rożków, a dam ci kolejne dziesięć kartonów za darmo!

— Dziękuję, Raj, ale nie skorzystam. — Ben zajrzał do zamrażarki, ciekawy, co jeszcze mogło się tam czaić. Nigdy jej nie rozmrażano, więc nie zdziwiłby się, gdyby pod lodem znalazł idealnie zachowanego włochatego mamuta z epoki lodowcowej.

— Czekaj — rzekł, przesuując kilka zaskorupałych lodów na patyku. — „Tygodnik Hydraulika” tutaj jest!

— A tak, teraz pamiętam — odparł Raj. — Schowałem go tam, żeby nadal był świeży, kiedy po niego przyjdiesz.

— Świeży?

— Przecież sam dobrze wiesz, że nowy numer wychodzi w środę, a już prawie koniec tygodnia. Włożyłem go więc w chłodne miejsce, by zachował świeżość. Nie chciałem, żeby się zepsuł.

Ben nie był pewien, w jaki sposób czasopismo mogło się zepsuć, ale podziękował sprzedawcy.

— To bardzo uprzejmie z twojej strony, Raj. Wezmę jeszcze paczkę karmelowych czekoladek Rolo.

— Mogę ci zaproponować siedemdziesiąt trzy opakowania za cenę siedemdziesięciu

dwóch! — zakrzyknął mężczyzna, przywołując na twarz kusicielski uśmiech zawodowego handlowca.

— Nie, dzięki, Raj.

— A tysiąc paczek czekoladek Rolo za cenę dziewięciuset dziewięćdziesięciu ośmiu?

— Nie, dzięki.

— Ben, oszalałeś? To świetna oferta. W porządku, niech ci będzie, ostro się targujesz, chłopie. Milion siedem opakowań czekoladek za cenę miliona czterech. To trzy paczki całkowicie za darmo!

— Jednak wezmę tylko jedną, i czasopismo, dzięki.

— Oczywiście. Już podaję.

— Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie będę mógł przejrzeć „Tygodnik”. Znów muszę cały wieczór przesiedzieć z moją nudną, starą babcią.

Minął już tydzień od ostatniej wizyty Bena i nieubłagane nadszedł następny straszny piątek. Tym razem jego rodzice wybierali się do kina na — jak to określiła Mama — „komedię romantyczną”. Całowanie, zakochane pary i inne ckliwe bzdety. Obleśna ohyda.

— Tsk-tsk-tsk — cmoknął Raj, kręcąc głową, i wydał chłopcu resztę.

Benowi od razu zrobiło się wstyd. Sprzedawca nigdy wcześniej tak nie zareagował. Jak wszystkie miejscowe dzieciaki, Ben także uważał Raja za „jednego ze swoich”, a nie „jednego z nich”. Był tak pogodny i tak pełen życia, że wydawało się jakby był z innego świata, w porównaniu z resztą dorosłych, którzy sądzili, że mogą na ciebie nakrzyczeć tylko dlatego, że są więksi.

— Chłopcze, to, że twoja babcia jest stara — rzekł Raj — nie oznacza, że musi być nudna. Ja sam też nie młodnieję. A za każdym razem, gdy spotykam twoją babcię, utwierdzam się w przekonaniu, że to bardzo interesująca kobieta.

— Ale...

— Nie bądź dla niej taki surowy, Ben — namawiał Raj. — Wszyscy się kiedyś zestarzejemy. Nawet ty. Jestem pewien, że twoja babcia ma niejednego asa w rękawie. Starsi ludzie zawsze mają jakieś tajemnice.

Tajemnice i Cuda

Ben jakoś nie miał przekonania, co do słuszności teorii Raja. Wieczorem powtórzyła się ta sama historia. Babcia podała zupę kapuścianą, zaraz po niej ciasto z kapustą, a na deser kapuściany mus. Nawet znalazła gdzieś czekoladki z nadzieniem kapuścianym*. Po kolacji jak zawsze zasiedli razem na zatęchłej kanapie.

— Czas na scrabble! — zawołała Babcia.

*Czekoladki o smaku kapuścianym nie są tak smaczne, jak mogłoby się wydawać. Przecież sama nazwa nie brzmi smacznie.

Super, pomyślał Ben. Dziś będzie milion razy nudniej niż w zeszłym tygodniu!

Ben nie znosił tej gry. Gdyby tylko mógł, zbudowałby raketę i wystrzelił wszystkie, kiedykolwiek wyprodukowane, plansze do scrabble w Kosmos. Babcia wyciągnęła z kredensu stare, zakurzone pudło i rozłożyła grę na pufie.

Ben westchnął.

Wydawało się, że dziesiątki lat, a nie ledwie godziny, spędził na wpatrywaniu się w swoje litery, nim przyjrzał się ułożonym do tej pory wyrazom:

MONOTONIA

PRZEDPOTOPOWY

KWAKNIĘCIE (podwójna premia słowna)

BEZCELOWY

SMRODLIWY (po konsultacji ze słownikiem)

ZMARSZCZKI

KAPUSTOFOBIA (potrójna premia słowna)

UCIECZKA

POMOC

NIENAWIDŻĘTEJGŁUPIEJGRY (tej propozycji Babcia nie dopuściła, z uwagi na fakt, iż nie był to samodzielny wyraz)

Ben miał „N”, „D” oraz „U”. Babcia dopiero co ułożyła słowo „miętówka” (zaliczając podwójną premię słowną), więc chłopiec wykorzystał „A” z końca wyrazu, dzięki czemu wyszła „nuda”.

— No, mój drogi, dochodzi ósma — oznajmiła Babcia, spoglądając na swój mały, złoty zegarek. — Karaluchy pod poduchy...

Ben jęknął w myślach. Karaluchy pod poduchy?! Nie był maluchem!

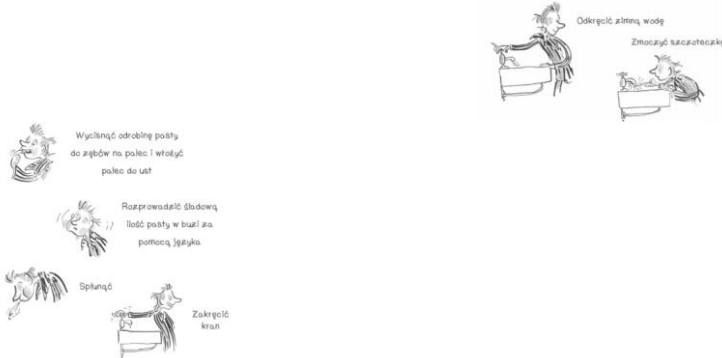
— Ale w domu mogę posiedzieć do dziewiątej! — zaprotestował. — A nawet do dziesiątej, jeśli następnego dnia nie idę rano do szkoły.

— Nie, mój drogi. Szykuj się do łóżka, proszę. — Staruszka, gdy zechciała, potrafiła

być całkiem stanowcza. — I nie zapomnij umyć zębów. Za moment przyjdę i opowiem ci bajkę na dobranoc, jeśli chcesz. Zawsze lubiłeś dobranocki.

Chwilę później Ben stał już przy umywalce w łazience. To był zimny, wilgotny pokój bez okna. Od ściany odpadła część kafelków. Wisiał tam też nędzny, wystrzępiony ręczniczek, a w mydelniczce leżała pokryta pleśnią stara kostka mydła.

Ben nie znośił szczotkować zębów. Dlatego udawał, że to robi. Udawanie, że myje się zęby, jest łatwe. Nie mów rodzicom, co ci opowiadam, ale gdybyś chciał spróbować, wystarczy, że zastosujesz się do kilku praktycznych wskazówek:



Widzisz? To dziecinnie proste. Niemal tak proste jak umycie zębów.

Ben spojrzał na swoje odbicie w łazienkowym lustrze. Miał jedenaście lat, lecz był niższy, niżby sobie tego życzył, więc na chwilę stanął na palcach. Bardzo chciał dorosnąć. Jeszcze tylko kilka lat, rozmyślał, a będzie wyższy, bardziej owłosiony i pryszczaty. Zaś jego piątkowe wieczory będą wyglądały zupełnie inaczej.

Nie będzie musiał więcej zostawać u swojej nudnej, starej Babcy. Zamiast tego będzie mógł robić te wszystkie ekscytujące rzeczy, którymi w piątki zajmowały się starsze dzieciaki:

Przesiadywać z paczką kumpli pod sklepem monopolowym, czekając, aż ktoś zwróci ci uwagę.

Lub przesiadywać na przystanku autobusowym z dziewczynami w dresach, żując gumę i nigdy nie wsiadać do żadnego autobusu.

Tak, czekał na niego świat pełen tajemnic i cudów.

Na razie jednak, choć na dworze wciąż było jasno, a z pobliskiego parku dobiegały okrzyki grających w piłkę chłopaków, Ben musiał iść spać. W małym, twardym łóżku, w wilgotnym pokoiku, w rozsypującym się domku swojej babci.

Który cuchnął kapustą.

Nie troszeczkę.

Przeokropnie.

Ben wlaź pod kołdrę z westchnieniem ciężkim jak kamień młyński. Wtedy właśnie Babcia delikatnie otworzyła drzwi jego sypialni. Chłopiec szybko zamknął oczy i udawał, że śpi. Staruszka przyczłapała do łóżka, by postać nad nim przez chwilę.

— Chciałam opowiedzieć ci coś na dobranoc — szepnęła. Gdy był młodszy, często wymyślała dla niego różne historie: o piratach, przemytnikach i mistrzach zbrodni, ale teraz był już za duży na takie bajanki.

— Jaka szkoda, że już zasnąłeś... Cóż, chciałam tylko powiedzieć, że cię kocham. Dobranoc, mój mały Benny.

Nie znośił, gdy nazywała go „Benny”.

Ani „mały”.

Koszmar robił się coraz mroczniejszy, gdy babcia pochyliła się, aby ucałować wnuczka. Ben poczuł na policzku nieprzyjemne ukłucie jej szczeciniastego podbródka. Potem usłyszał znajome, rytmiczne kwakanie babcinego zadka, piszcącego przy każdym kroku. Wykwakała z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Dosyć tego, pomyślał Ben, muszę stąd uciec!

Nieco Przybita

— Chrrrrrrrrrr... fffffffTTTTTTTTTTTT... chrrrrrrrrrr... fffffffTTTTTTTT...

Nie, czytelniku, nie kupiłeś przez pomyłkę wydania swahili tej książki. To był dźwięk, na który Ben czekał.

Babcine chrapanie.

Wreszcie zasnęła.

— Chrrrrrrrrrr... fffffffTTTTTTTTTTTT... chrrrrrrrrrr... fffffffTTTTTTTT...

Ben cichutko wymknął się z pokoju i ruszył do stojącego w korytarzu telefonu. To był jeden z tych starodawnych telefonów, mruczących niczym kot, gdy wykręcało się numer.

— Mamo...? — szepnął.

— STRASZNIE SŁABO CIĘ SŁYSZĘ! — odrzyknęła. W tle grała głośna muzyka jazzowa. Mama i Tata znów oglądali Taniec Najślawniejszych Sław Na żywo! Na scenie! Pewnie właśnie omdlewała na widok kołyszącego biodrami Flavio Flaviolego, rozszarpującego serca tysięcy kobiet w pewnym wieku. — Co się stało? Wszystko w porządku? Czy to stare pudło wciąż na chodzie?

— Tak, nic jej nie jest, ale nie znoszę tu być. Nie możesz po mnie przyjechać? Proszę!
— jęknął cicho Ben.

— Ale Flavio nie zatańczył jeszcze drugiego tańca.

— Błagam. Chcę wracać do domu. Babcia to skończona nudziara. Siedzenie z nią to jak tortury.

— Porozmawiaj z Tata.

Ben usłyszał przytłumiony odgłos przekazywanego z rąk do rąk telefonu.

— HALO? — krzyknął Tata.

— Proszę cię, mów ciszej!

— CO?

— Ciii. Nie krzycz, bo obudzisz Babcię. Tato, czy możesz po mnie przyjechać?

Błagam. Tu jest beznadziejnie.

— Nic z tego. Szansa na obejrzenie tego widowiska zdarza się tylko raz w życiu.

— Widzieliście to w zeszły piątek! — zaprotestował Ben.

— W takim razie, tylko dwa razy.

— I mówiłeś, że w przyszły piątek też będzie!

— Słuchaj, jeśli dalej będziesz tak pyskował, smarkaczu, zostaniesz u niej aż do Bożego Narodzenia. Dobranoc!

Po tych słowach Tata rozłączył się, Ben ostrożnie odłożył słuchawkę na widełki, a telefon wydał z siebie cichuteńkie „dzyń”.

Nagle chłopiec zauważył, że babcine chrapanie ustało.

Czy słyszała jego rozmowę? Obejrzał się za siebie i wydawało mu się, że przez chwilę dostrzega jej cień.

Rzeczywiście uważał swoją babcię za potwornie nudną, jednak nie chciał, by o tym wiedziała. W końcu była samotną, starą wdową, dziadek chłopca zmarł na długo przed narodzinami wnuka. Nękany poczuciem winy Ben wrócił do sypialni, gdzie czekał i czekał. I czekał, aż nadejdzie ranek.

Przy śniadaniu Babcia wydawała się jakaś nieswoja.

Cichsza. Może starsza. Nieco przybita.

Jej oczy były zaczerwienione, jak gdyby płakała.

Może jednak słyszała, co mówiłem?, zastanawiał się Ben. *Oby tylko nie słyszała.*

Babcia stała przy kuchence, podczas gdy Ben siedział przy malutkim, kuchennym stoliku. Udawała, że z zainteresowaniem wyczytuje się w przypięty do ściany kalendarz. Ben wiedział, że to tylko pozory, ponieważ nie było tam niczego ciekawego.

Typowy tydzień w zwariowanym życiu Babcini wyglądał następująco:

Poniedziałek: Ugotować zupę kapuścianą. Zagrać w scrabble przeciwko samej sobie. Przeczytać książkę.

Wtorek: Upiec ciasto z kapustą. Przeczytać kolejną książkę. Puszcząć wiatry.

Środa: Przyrządzić danie zwane „Czekoladową niespodzianką”. Niespodzianka polega na tym, że nie ma w nim czekolady. W rzeczywistości zawiera 100% kapusty.

Czwartek: Ssać miętówkę firmy Murray od rana do wieczora (pojedyncza miętówka mogłaby równie dobrze starczyć jej do końca życia).

Piątek: Nadal ssać tę samą miętówkę Murraya. Mój wspaniały wnuczek przyjeżdża z wizytą.

Sobota: Mój wspaniały wnuczek wraca do domu. Zasiąść na tronie. Elegancko się wypróżnić!

Niedziela: Zjeść pieczoną kapustę z duszoną kapustą oraz dodatkiem gotowanej kapusty. Puszcząć wiatry od rana do wieczora.

Wreszcie Babcia odwróciła się od kalendarza.

— Mamusia i Tatuś niedługo będą — powiedziała, przerywając ciszę.

— Tak — odparł Ben, spoglądając na zegarek. — Za kilka minut.

Minuty ciągnęły się niczym godziny. A nawet dni. Miesiące!

Minuta to czasem naprawdę długo. Nie wierzysz? W takim razie siądź w pokoju zupełnie sam, nie robiąc nic, poza odliczaniem sześćdziesięciu sekund.

Zrobione? Nie wierzę ci. Wcale nie żartowałem. Chcę, żebyś naprawdę to zrobił.

Nie dokończę opowieści, póki sam nie sprawdzisz, jak to jest.

To nie ja marnuję czas. Mogę czekać choćby cały dzień. I jak, policzyłeś już? Dobrze. To wróćmy do naszej historii...

Chwilę po jedenastej pod dom Babcini podjechał brązowy samochodzik. Jak kierowca podczas napadu na bank, Mama nie wyłączała silnika. Pochylając się, otworzyła drzwi po stronie

pasażera i gdyby Ben szybko wskoczył do środka, za sekundę już by ich nie było.

Ale chłopiec wolno człapał do samochodu.

— Może wejdiesz na herbatkę, Lindo? — zawołała z progu Babcia.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała mama Bena. — Szybciej, Ben, wsiadaj, na litość boską! — ponagliła, podkreślając obroty silnika. — Nie mam ochoty na rozmowy z naszą staruszką.

— Ciii! Usłyszysz cię!

— Myślałam, że nie lubisz Babci...

— Tego nie powiedziałem, Mamo. Mówiłem, że jest nudna. Ale przecież nie chcę, żeby ONA o tym wiedziała, prawda?

Mama roześmiała się, gdy pośpiesznie wyjechali z Grey Close.

— Nie martwiłabym się tym. Twoja babcia już nie bardzo chwyta, co się wokół dzieje. Najczęściej pewnie w ogóle nie rozumie, co do niej mówisz.



Ben zmarszczył brwi. Nie był tego taki pewien. Zaczynał mieć poważne wątpliwości. Pamiętał minę Babci przy śniadaniu. Targało nim okropne przecucie, że rozumiała o wiele więcej, niż mógł przypuszczać.

Zimne, Mokre Jajo

Kolejny piątkowy wieczór byłby równie dobijająco ciekawy, co poprzedni, gdyby nie to, że Ben pamiętał o zabraniu ze sobą ulubionego czasopisma. Mama i Tata znowu porzucili swego jedynaka u Babci.

Gdy tylko dotarł na miejsce, pobiegł prosto do malutkiej, zimnej i wilgotnej sypialni, zatrzasnął za sobą drzwi i od deski do deski przestudiował najnowszy numer „Tygodnika Hydraulika”. Tym razem zamieszczono w nim rewelacyjny artykuł z kolorowymi ilustracjami na temat instalowania kotłów dwufunkcyjnych nowej generacji. Ben zagiął róg strony. Wiedział już, co chce na Gwiazdkę.

Gdy skończył czytać, westchnął i zszedł do salonu. Babcia uśmiechnęła się na jego widok.

— Czas na scrabble! — zawołała wesoło, wyjmując grę.

Rano w domu panowała krępująca cisza.

— Może jeszcze jedno gotowane jajko? — spytała Babcia, gdy siedzieli w zmurszałej kuchni.

Ben nie lubił gotowanych jajek, dlatego nie skończył jeszcze pierwszego, które Babcia mu zrobiła. Potrafiła zepsuć nawet tak prostą potrawę. Jajka zawsze wychodziły wodniste, a ułożony w szeregu pluton miniaturowych grzanek[2] — spalony na węgiel. Korzystając z nieuważności staruszki, Ben zwykle katapultował za pomocą łyżeczki jajeczne gluty przez okno, a spalone porcje tostów chował za kaloryferem. Zapewne zdążyły się tam już spiętrzyć całe góry.

— Nie, dziękuję, Babciu. Najadłem się — odpowiedział Ben. — Pyszne jajko, dzięki.

— Mmm... — mruknęła sceptycznie. — Chłodnawo dziś. Pójdę włożyć jeszcze jeden sweter — stwierdziła, choć miała już na sobie dwa, i pokwakując wytoczyła się z pokoju.

Ben cisnął resztę jaja przez okno i zaczął szukać czegoś innego do zjedzenia. Wiedział, że Babcia trzymała zapas czekoladowych ciastek ukryty na najwyższej z kuchennych półek. Częstowała wnuczka ciasteczkiem w dniu jego urodzin. Od czasu do czasu Ben sam się nim raczył, gdy kapuściane specjały zmieniały go w głodnego wilka.

Szybko przysunął krzesło do kredensu i stanął na nim, żeby dosięgnąć ciasteczek. Znajdowały się w jubileuszowej puszcze z 1977 roku, na której wieczku widniał porysowany i wytarty portret o wiele młodszej Królowej Elżbiety II. Błaznane pudełko wydało mu się niewiarygodnie ciężkie. O wiele cięższe niż zwykle.

Dziwne.

Ben potrząsnął puszką. Zawartość nie brzmiała jak ciasteczka, raczej jakby w środku były kamienie albo szklane kulki.

Bardzo dziwne.

Ben odkręcił wieczko.

Przez chwilę jedynie się GAPIŁ.

A właściwie przez dwie chwile.

Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył.

Diamenty! Pierścionki, bransoletki, naszyjniki, kolczyki, wszystkie z wielkimi, połyskującymi diamentami. Diamenty, diamenty i jeszcze więcej diamentów!

Ben nie był ekspertem, ale przypuszczał, że mogła to być równowartość tysięcy funtów, może nawet milionów.

Nagle usłyszał, że babcia kwacze z powrotem do kuchni. W popłochu zamknął pudełko, odstawił je na półkę, zeskoczył na podłogę, przyciągnął krzesło do stołu i usiadł.



Spoglądając w okno, zauważył, że katapultowany glut wcale nie trafił do ogrodu, lecz rozpaćkał się na szybie. Jeśli zaschnie, Babcia będzie musiała usuwać go palnikiem. Dlatego chłopiec podbiegł do okna, zassał do ust zimne, mokre jajko i wrócił na miejsce. Było zbyt obrzydliwe, by je połknąć, więc spanikowany Ben mógł jedynie trzymać je w paszczy.

Babcia przyszuriała do kuchni ubrana w trzy rozpinane swetry.

Nadal pokwakuje.

— Lepiej załóż kurtkę, chłopcze. Twoi rodzice lada chwila tu będą — powiedziała z uśmiechem.

Ben niechętnie przełknął jajecznego gluta, czując, jak ześlizguje się w dół gardła. Fuj, fuj i jeszcze raz fuj.

— Rzeczywiście — odparł, jednocześnie obawiając się, że zwymiotuje i wystrzeli jajko z powrotem na szybę.

Byłaby jajecznicą.

Worki z Nawozem

Czy mogę dziś znowu zanocować u Babci? — spytał Ben z tylnego siedzenia małego, brązowego auta rodziców. Diamenty ukryte w blaszanej puszcze nie przestawały go intrygować. Koniecznie chciał pobawić się w detektywa. Może nawet udałoby mu się przeszukać resztę ciemnych zakamarków domu staruszki. Cała sytuacja była niebywale tajemnicza. A Raj uprzedzał, że Babcia może mieć parę sekretów. Wyglądało na to, że miał rację! Cokolwiek ukrywała, musiało być niesamowite, bo jak inaczej wytłumaczyć te wszystkie klejnoty. A może była kiedyś zylionerką? Albo pracowała w kopalni diamentów? Albo dostała kosztowności od jakiejś księżniczki? Ben nie mógł się doczekać, żeby odkryć prawdę.

— Jak to? — spytał zaskoczony Tata.

— Przecież mówiłeś, że jest nudna — dodała Mama, równie zdumiona, a wręcz poirytowana. — Powiedziałeś, że wszyscy starzy ludzie to nudziarze.

— Tylko żartowałem — odparł Ben.

Tata badawczo przyjrzał się synowi we wstecznym lusterku. Fakt, bardzo często trudno było mu zrozumieć swą ogarniętą hydrauliczną obsesją latorośl, ale tym razem Ben naprawdę gadał od rzeczy.

— Hmm, cóż... jeśli jesteś pewien...

— Jestem pewien, Tato.

— Po powrocie do domu zadzwonię do niej i sprawdzę, czy nigdzie się nie wybiera.

— Miałaby dokąd wyjść? — zadrwiła Mama. — Kobięcina od dwudziestu lat nie wychodziła z domu! — dodała chichocząc.

Ben nie wiedział, co w tym takiego śmiesznego.

— Zabrałem ją kiedyś do centrum ogrodniczego — zaprotestował Tata.

— Tylko dlatego, że potrzebowałeś pomocy w noszeniu worków z nawozem — powiedziała Mama.

— Tak czy owak, świetnie się tego dnia bawiła — odparł Tata urażony.

Nieco później Ben siedział samotnie na łóżku, a w jego głowie kłębiły się natrętne myśli.
Skąd, na zawór zwrotny, Babcia wytrzasnęła te diamenty?

Ile mogły być warte?

Dlaczego mieszkała w tym ponurym domku, skoro była tak bogata?

Ben główkował i główkował, ale nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

W pewnym momencie do pokoju wszedł Tata.

— Babcia jest zajęta. Powiedziała, że bardzo chętnie by się z tobą zobaczyła, ale dziś wieczorem wychodzi — oznajmił.

— Co?! — wykrztusił z siebie Ben. Babcia NIGDY nie wychodziła. Przecież widział jej kalendarz. Tajemnica stawała się coraz bardziej tajemnicza...

Peruczka w Słoiku

Ben czatował w krzakach pod domem Babci. Gdy Mama z Tatą siedzieli na dole w salonie, oglądając w telewizji Taniec najslawniejszych sław, on wymknął się przez okno swojej sypialni, zsunął po rynnie i pokonał na rowerze ośmiokilometrową drogę do Babci.

Już sam ten fakt świadczy o tym, jak bardzo staruszka go zaintrygowała. Ben nienawidził jeździć na rowerze. Rodzice wiecznie zachęcali go, by zażywał więcej ruchu. Twierdzili, że dobra kondycja jest absolutnie konieczna, jeśli chce się być zawodowym tancerzem. Ale świetna forma nie miała większego znaczenia, gdy leżało się pod zlewem, montując miedzianą instalację rurową, więc Ben stronił od regularnego wysiłku fizycznego.

Aż do teraz.

Jeśli Babcia rzeczywiście miała zamiar wyjść wieczorem z domu po raz pierwszy od dwudziestu lat, Ben musiał wiedzieć dokąd. To mogło być absolutnie kluczowe do wyjaśnienia, jak weszła w posiadanie tony diamentów, ukrytej w puszcze na ciasteczka.

Dlatego sapiąc i dysząc, pedałowal ścieżką wzdłuż kanału na starym, rozklekotanym rowerze, aż dotarł do Grey Close. Na szczęście listopadowy chłód nie pozwolił mu całkiem przesiąknąć potem w trakcie jazdy, więc ubranie miał jedynie wilgotnawe.

Pędził, wiedząc, że nie miał zbyt wiele czasu. Taniec najslawniejszych sław zdawał się trwać godzinami, wręcz całymi dniami, ale dojechanie do Babci zajęło Benowi pół godziny, a gdy tylko program się skończy, Mama zacznie go wołać na podwieczorek.

Rodzice Bena uwielbiali wszystkie taneczne programy — „Taniec na łyżwach”, „Tańcz — Jeśli tylko potrafisz!” — ale na punkcie Tańca najslawniejszych sław mieli prawdziwego fioła. Nagrywali każdy wyemitowany odcinek i zgromadzili imponującą kolekcję związanych z SZOŁ memorabiliów, a wśród nich na przykład:

Limonkowozielone stringi, noszone niegdyś przez Flavio Flaviolego, oprawione w ramki wraz z fotografią tancerza w tymże stroju

Zakładkę z logo Tańca najslawniejszych sław z prawdziwej sztucznej skóry

Talk do stóp dla sportowców z autografem zawodowej partnerki Flavio, australijskiej piękności, Evy Bunz

Oryginalne getry z logo Tańca najslawniejszych sław — „Dla niej” i „Dla niego”

Płytkę z piosenkami, które przez chwilę miały szansę zostać wykorzystane w programie



Trzymaną w słoiku peruczkę, noszoną niegdyś przez prezentera, sir Dirka Doddery’ego Naturalnych rozmiarów, tekturową podobiznę Flavio Flaviolego, ze śladami maminej szminki w okolicy ust

W innym słoiku, nieco woskowiny z ucha sławnej uczestniczki, posłanki lady Rachel
Prejudice[3]

Parę jasnobrzązowych rajstop, pachnących Evą Bunz
Nabazgrolony na serwetce męski zadek, autorstwa złośliwego sędziego, Craiga
Malteser-Woodwarda
Zestaw oryginalnych kieliszków do jajek z logo Tańca najślawniejszych sław
W połowie pustą tubę żelu używanego przez Falvio Flaviolego
Ruchomą figurkę Craiga Malteser-Woodwarda
Brzeg pizzy Hawaiian Hot pozostawiony przez Flavio (wraz z pisemnym
poświadczeniem autentyczności od Ewy Bunz)

Była sobota, więc po obejrzeniu tańców rodzina miała zasiąść do serowej zapiekanki z fasolą i kiełbasą. Żadne z rodziców nie potrafiło gotować, lecz ze wszystkich gotowych dań, które mama Bena wyjmowała z zamrażalnika, nakłuwała widelcem i wkładała na trzy minuty do mikrofalni, to było jego ulubione. Głodny Ben nie chciał przegapić posiłku, co oznaczało, że powrót do domu musiał się odbyć szybko i sprawnie. Gdyby chodziło o, powiedzmy, poniedziałkową Lazanię Kurczak Tikka lub środową Pizzę Kebab Doner, albo niedzielny Chow Mein Yorkshire Pudding*, nie byłoby się do czego spieszyć.

Zapadała noc. Jak przystało na późny listopad, szybko robiło się coraz zimniej, więc Ben dygotał, stojąc w krzakach i szpiegując swoją babcie. *Dokąd ona się wybiera?*, zastanawiał się. *Prawie nigdy nie wychodzi.*

*Sieć supermarketów, w której zatrudniony był tata Bena, lubiła łączyć kuchnie dwóch różnych krajów w jeden, łatwo ulegający obróbce termicznej zestaw. Dzięki kulinarnym mieszankom kulturowym, mieli nadzieję pewnego dnia wnieść pokój do świata pełnego rażących podziałów. Ten dzień mógł jednak nigdy nie nadejść.

Ben dostrzegł cień poruszający się wewnątrz domu, a potem w oknie ukazała się kobieca twarz. Chłopiec prędko zanurkował w głąb kryjówek. Krzaki zaszeleściły. *Ciii!*, pomyślał Ben. Czy zdążyła go zobaczyć?

Po paru chwilach drzwi otworzyły się i przed dom wyszła postać od stóp do głów odziana w czerń. Miała czarną bluzę, czarne legginsy, czarne rękawiczki i skarpetki, pewnie nawet czarny stanik i majtki. Twarz skrywała czarna kominiarka, lecz Ben rozpoznał Babcie po przygarbionej sylwetce. Przypominała postać z okładek swoich ulubionych powieści. Dosiadła skutera inwalidzkiego i uruchomiła silnik.

Dokąd się wybierała?!

A co ważniejsze, dlaczego ubrała się jak ninja?

Ben oparł rower o krzaki i przygotował się do śledzenia matki swojego ojca.

Coś takiego przenigdy, nawet w najśmielszych snach, nie przyszłoby mu do głowy.

Niczym pajak, który stara się niepostrzeżenie przemykać po łazience, Babcia prowadziła skuter jak najbliżej murów. Ben bezszelestnie podążał za nią. Nie stanowiło to żadnego problemu, ponieważ skuter inwalidzki mógł poruszać się z maksymalną prędkością sześciu kilometrów na godzinę. Warkocząc na drugą stronę ulicy, Babcia nagle obejrzała się za siebie, jak gdyby coś usłyszała, a Ben dał nura za pobliskie drzewo.

Odczekał chwilę, wstrzymując oddech.

Nic się nie działo.

Po paru chwilach wyrzwał zza pnia i spostrzegł, że Babcia dotarła do końca ulicy. Kontynuował pościg.

Wkrótce znaleźli się w pobliżu głównej handlowej ulicy w mieście. Była opustoszała. Wczesnym wieczorem wszystkie sklepy już pozamykano, a pubów i restauracji jeszcze nie otwarto. Babcia trzymała się z dala od blasku latarni, co i rusz skręcając w którąś z bram. Zbliżała się do upatrzonego celu.

Ben gwałtownie wciągnął powietrze, gdy zobaczył, gdzie zaparkowała. Pod sklepem jubilerskim.



W oknie wystawy połyskiwały naszyjniki, pierścionki i zegarki. Ben nie mógł uwierzyć własnym oczom, patrząc, jak Babcia z kosza przy skuterze wyciąga słoik zupy kapuścianej. Zerknąwszy teatralnie najpierw w lewo, potem w prawo, staruszka zamachnęła się z wyraźnym zamiarem ciśnięcia nim w szybę wystawy.

— Niiieeeeeee! — krzyknął Ben.

Babcia upuściła słoik, który rozbił się o ziemię, a kapuściana zupa zaczęła wyciekać na chodnik.

— Ben? — syknęła. — Co ty tutaj robisz?

Czarny Kot

Ben gapił się na swą ubraną w czerń babcię stojącą przed sklepem jubilerskim.

— Ben? — powtórzyła. — Dlaczego mnie śledziłeś?

— Ja tylko... ja... — był w takim szoku, że nie potrafił wydusić z siebie pełnego zdania.

— Cóż — rzekła — niezależnie od tego, po co tu przyszedłeś, zaraz ściągniesz na nas gliny. Lepiej stąd wlejmy. Szybko, wskakuj.

— Ale ja nie mogę...

— Ben! Mamy niecałe trzydzieści sekund, zanim włączy się monitoring. — Wskazała na kamerę telewizji przemysłowej, przykręconą do ściany bloku sąsiadującego z pasażem sklepów.

Ben dał susa na tył skutera inwalidzkiego.

— Wiesz, kiedy włączają się kamery?

— Ha — powiedziała Babcia — zdziwiłbyś się, ile tak naprawdę wiem.

Gdy prowadziła, Ben zawiesił wzrok na jej plecach. Dopiero co widział, jak szykowałą się do ograbienia jubilera, co więc mogłoby go zaskoczyć jeszcze bardziej? Najwyraźniej jego Babcia była zupełnie inna, niż przypuszczał.

— Trzymaj się — rzekła staruszka. — Wrzucam pełny gaz.

Gwałtownym ruchem przekręciła rączkę skutera. Ben nie wyczuł absolutnie żadnej różnicy. Znikali w mroku, bucząc i jadąc mniej więcej cztery kilometry na godzinę z powodu zwiększonego obciążenia.



— „Czarny Kot”? — powtórzył Ben, kiedy wreszcie wrócili i zasiedli w babcinym salonie, gdzie Babcia, jak każda kulturalna starsza pani, podała herbatę i czekoladowe ciasteczka.

— Tak mnie nazywali — odparła Babcia. — Byłam najbardziej poszukiwanym złodziejem klejnotów na świecie.

W głowie Bena kłębiły się miliony pytań. *Dlaczego? Gdzie? Kto? Co? Kiedy?* Nie sposób było zdecydować, o co spytać najpierw.

— Poza tobą, nikt o tym nie wie — mówiła dalej — nawet twój dziadek pożegnał się z tym światem, nie znając prawdy. Czy potrafisz dochować tajemnicy? Musisz przysiąc, że nikomu nie powiesz.

— Ale...

Babcia zrobiła bardzo srogą minę. Jej oczy zwężyły się i pociemniały, jak u szykującego się do ataku węża.

— Musisz przysiąc — rzekła z mocą, której Ben nigdy by się po niej nie spodziewał. — My, kryminaliści, traktujemy przysięgi bardzo poważnie. NIEZWYKLE poważnie.

Przerażony Ben przełknął głośno ślinę.

— Przysięgam, że nikomu nie powiem.

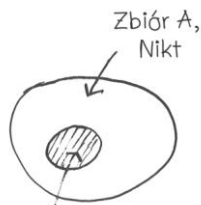
— Nawet własnej matce i własnemu ojcu! — warknęła Babcia, omal nie wypluwając

przy tym sztucznej szczęki.

— Przecież mówię, że przysięgam nie mówić nikomu — odburknął Ben.

W szkole uczył się ostatnio o diagramach Venna. Skoro przysięgł nie mówić „nikomu”, a podlegające pod tę kategorię wszystkie osoby tworzą zbiór A, w takim razie w oczywisty sposób Mama i Tata również przynależą do zbioru A, stanowiąc jego podzbiór, zatem nie było potrzeby wymagać od Bena przysięgi po raz drugi.

Spójrz na ten podręczny diagram:



Zbiór B, Mama i Tata

Ben nie sądził jednak, żeby w tej chwili jego babcię mogły zainteresować diagramy.

Wciąż wpatrywała się w niego tym przerażającym wzrokiem, więc westchnęła i rzekła:

- W porządku, przysięgam, że nie powiem Mamie i Tacie.
- Dobry chłopak — ucieszyła się Babcia, a jej aparat słuchowy zaczął gwizdać.
- Ale... pod jednym warunkiem — zaryzykował Ben.
- Jakim? — spytała Babcia, nieco zaskoczona jego odwagą.
- Musisz mi zdradzić całą prawdę...

Cała Prawda

— Pierwszy pierścionek z diamentem ukradłam, gdy byłam w twoim wieku — powiedziała Babcia.

Ben był kompletnie zaskoczony. Częściowo samym pomysłem, że Babcia kiedykolwiek miała tyle lat co on, a częściowo dlatego, że jedenastoletnie dziewczynki zazwyczaj nie kradły diamentów. Flamastry z brokatem, spinki do włosów, plastikowego kuczka do zabawy — tak, ale na pewno nie diamenty.

— Dobrze wiem, że gdy patrzysz na mnie, moje gry, robótki ręczne i zamięłowanie do kapusty, myślisz sobie: „To tylko nudna emerytka”...

— Nie... — odparł Ben, mało przekonująco.

— Zapominasz jednak, że ja też kiedyś byłam młoda.

— Opowiedz mi o tej pierwszej kradzieży — poprosił Ben z błyskiem w oku. — Czy ten diament był olbrzymi?

— Nie aż tak wielki! — zaśmiała się Babcia. — Nie, od niego dopiero się zaczęło. Powinien jeszcze gdzieś tu być. Skocz do kuchni i przynieś mi srebrną puszkę jubileuszową z górnej półki.

Ben wzruszył ramionami, jak gdyby nie miał zielonego pojęcia ani o tym pudełku, ani o jego niezwykłej zawartości.

— A gdzie dokładnie mam szukać? — spytał po drodze do kuchni.

— Na wierzchu kredensu, chłopcze! Raz-raz. Rodzice wkrótce zaczną się zastanawiać, gdzie się podziewasz.

Ben przypomniał sobie, że faktycznie miał zamiar pędzić do domu na serową zapiekankę z kiełbasą i fasolą. Ale nagle wydała mu się ona monumentalnym głupstwem. W ogóle przestał być głodny.

Wrócił do pokoju z puszką w rękach. Była cięższa, niż pamiętał. Podał ją Babci.

— Dobre dziecko — powiedziała, szperając w pudełku i wybrała wyjątkowo piękny brylancik.

— O, to ten!

Dla Bena pierścionki z diamentami niespecjalnie się od siebie różniły, jednak Babcia każdy z nich traktowała jak starego, dobrego przyjaciela.

— Takie piękne maleństwo — powiedziała, przyglądając się pierścionkowi z bliska. — To mój pierwszy łup, jeszcze z czasów, kiedy byłam szkrabem.

Ben nie potrafił sobie wyobrazić swojej Babci młodej. Znał ją tylko jako starszą panią. Spodziewał się raczej, że była stara już w dniu narodzin, a gdy jej mama po porodzie spytała położną, czy to chłopiec, czy dziewczynka, kobieta odpowiedziała: „To mała staruszka!”.

— O, nie!

— O, tak! Chwyciłam pierścionek i popędziłam do okna. Nie odważyłam się spojrzeć za siebie, a słysząc, że lord Davenport szykuje broń, w popłochu wyskoczyłam na trawnik. Po chwili wewnątrz domu rozbłysły światła, zaczęły szczekać psy, a ja uciekałam ile sił w nogach. Nagle usłyszałam kolejny, ogłuszający dźwięk...

— Znowu beknięcie? — spytał Ben.

— Nie, tym razem był to odgłos wystrzału. Lord Davenport strzelał do mnie, gdy zbiegałam ze wzgórza do lasu.

— A co potem?

Babcia zerknęła na swój mały, złoty zegarek.

— Lepiej zbieraj się do domu, mój drogi. Mamusia i Tatuś na pewno odchodzą od zmysłów.

— Wątpię — powiedział Ben. — Obchodzą ich tylko te głupie tańce.

— To nieprawda — stwierdziła niespodziewanie Babcia. — Wiesz przecież, że cię kochają.

— Chcę poznać koniec tej historii — odparł sfrustrowany chłopiec. Zżerała go ciekawość.

— I poznasz, ale innym razem.

— Ale Babciu...

— Ben, musisz wracać do domu.

— To niesprawiedliwe!

— Musisz już iść. Resztę mogę ci opowiedzieć, gdy wpadniesz następnym razem.

— ALE!

— Ciąg dalszy nastąpi — oznajmiła.

Serowa Zapiekanka z Fasolą i Kielbasą

Ben pognął na rowerze do domu, nie bacząc na ogień w mięśniach i ból w piersi. Jechał tak szybko, że prawdopodobnie ryzykował mandat za przekroczenie prędkości. Myśli kłębiły mu się w głowie w rytm obracających się kół.

Czyżby jego nudna, stara babcia naprawdę była rabusiem?

Babcia-Rabuś?!

To by tłumaczyło, dlaczego tak bardzo lubiła powieści o gangsterach. Sama była jednym z nich!

Ben wślizgnął się tylnymi drzwiami akurat w momencie, gdy salon eksplodował znajomym motywem muzycznym z Tańca najślawniejszych sław. Zdążył wrócić w ostatniej chwili.

Jednak gdy miał zamiar zniknąć na górze i udawać, że przez cały czas grzecznie odrabiał lekcje w swoim pokoju, do kuchni wpadła Mama.

— Co robisz? — spytała podejrzliwie. — Jesteś strasznie spocony.

— Nic takiego — odparł strasznie spocony Ben.

— Jak ty wyglądasz? — powiedziała, podchodząc bliżej. — Pocisz się jak świnia.

Benowi zdarzyło się widzieć w życiu kilka świń i żadna z nich się nie pociła. Co ciekawsze, wielbiciele świń na całym świecie potwierdziliby, że świnie nie mają gruczołów potowych, więc tak naprawdę nie mogą się pocić.

Kurczę, z tej książki będzie się można naprawdę sporo nauczyć.

— Wcale się nie pocę — zaprotestował Ben, lecz jako oskarżony zaczął pocić się jeszcze bardziej.

— Właśnie, że TAK. Biegałeś?

— Nie — odparł ociekający chłopiec.

— Ben, zamierzasz okłamywać własną matkę? — spytała, wskazując na siebie palcem, przez co jeden z jej sztucznych paznokci poszybował w dal.

Mamie stale odpadały tipsy. Ben raz nawet znalazł jeden w swojej porcji odgrzewanej Paelli Bolognese.

— Jeśli nie byłeś na dworze, żeby pobiegać, to dlaczego się pocisz?

Ben musiał prędko coś wymyślić. Melodia z Tańca najślawniejszych sław dobiegała końca.

— Tańczyłem! — palnął wreszcie.

— Tańczyłeś? — Mama nie wyglądała na przekonaną. Ben nie był Flavio Flaviolim. Na dodatek nie znosił tańców towarzyskich.

— Tak, bo widzisz, zmieniłem zdanie na temat tańca. Uwielbiam to!

— Jeszcze niedawno było wręcz przeciwnie. — Podejrzliwość Mamy wzrosła. — W kółko powtarzałeś, że tego nie znosisz. W zeszłym tygodniu powiedziałeś, że „wolałbyś jeść własne gluty z nosa, niż oglądać ten badziew”. Równie dobrze mogłeś ugodzić mnie sztyletem prosto w serce!

Mama zdenerwowała się na samo wspomnienie.

— Przepraszam, Mamo. Naprawdę. — Ben dotknął jej ramienia, a na podłodze wylądował kolejny tips. — Ale teraz naprawdę mi się to podoba, słowo. Właśnie oglądałem Taniec najślawniejszych sław przez szparę w drzwiach i naśladowałem wszystkie kroki.

Mama o mało nie pękła z dumy. Wyglądała tak, jakby życie nagle nabrało dla niej znaczenia. Na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz szczęścia zmieszanego ze smutkiem, jak gdyby właśnie wypełniało się przeznaczenie.

— Czy pragniesz zostać... — urwała i wzięła głęboki wdech — ...zawodowym tancerzem?

— Gdzie moja kolacja?! — zawołał z salonu Tata.

— Przymknij się, Pete! — w oczach Mamy pojawiły się łzy szczęścia.

Ostatni raz łkała rok temu, kiedy Flavio Flavioli wyleciał z programu już w drugim odcinku. Zmuszony był partnerować lady Rachel Prejudice, której spasio cielsko z trudem włókł za sobą po parkiecie.

— Eee... to znaczy... właściwie... — Ben gorączkowo szukał sposobu, żeby się z tego wywinąć. — ...tak.

Nie poszło mu najlepiej.

— Wiedziała! — zawołała Mama. — Pete, chodź tu na chwilę. Ben ma ci coś ważnego do powiedzenia.

Zmęczony Tata przyczłapał do kuchni.

— Co jest, Ben? Chyba nie wstępujesz do cyrku? A niech mnie, aleś się spocił.

— Nie, Pete... — zaczęła Mama powoli, cedząc słowa, jak juror odczytujący nazwisko zwycięzcy podczas ceremonii rozdania nagród. — Ben już nie chce być zwykłym, durnym hydraulikiem...



— I całe szczęście — stwierdził Tata.

— Chce zostać... — Mama spojrzała na syna. — Powiedz mu, Ben.

Ben otworzył usta, lecz nim zdążył cokolwiek powiedzieć, odezwała się Mama:

— Nasz syn chce zostać zawodowym tancerzem!

— A więc Bóg istnieje! — zawołał Tata, wznosząc oczy ku pociemniałemu od nikotyny sufitowi, jakby stamtąd miała zstąpić na nich Boża Łaska.

— Dopiero co ćwiczył w kuchni kroki — trąkotała podekscytowana Mama. — Naśladował tancerzy z programu...

Tata spojrzał synowi w oczy i podał mu dłoń jak dorosłemu mężczyźnie.

— To wspaniała nowina, chłopcze! My z mamą niewiele w życiu osiągnęliśmy. Ona poleruje paznokcie...

— Jestem wykwalifikowaną specjalistką w dziedzinie pielęgnacji paznokci, Pete! — poprawiła Mama surowo. — Dobrze wiesz, że to diametralna różnica...

— Przepraszam, pielęgnuje paznokcie. Ja zaś skończyłem jako podstarzały ochroniarz, bo byłem za gruby do policji. Największego dreszczu emocji tego roku dostarczyło mi

zatrzymanie faceta na wózku inwalidzkim, który wyjeżdżał ze sklepu z opakowaniem budyniu ukrytym pod kocem. Ale twoja chęć zostania zawodowym tancerzem... to... najlepsza rzecz, jaka nam się przytrafiła.

— Najwspanialsza! — rzekła Mama.

— Najfantastyczniejsza — zgodził się Tata.

— Najlepsza rzecz pod słońcem — dodała Mama.

— Po prostu świetna i już — stwierdził Tata z irytacją. — Tylko ostrzegam cię, synu, nie będzie łatwo. Istnieje wprawdzie szansa, że wystąpisz w telewizji, ale przez kolejne dwadzieścia lat będziesz musiał trenować osiem godzin dziennie.

— Może uda ci się dostać do amerykańskiej edycji! — zawołała Mama. — Och, Pete, wyobraź sobie tylko naszego syna robiącego zawrotną karierę w Ameryce!

— Nie wpadajmy w euforię przedwcześnie, moja droga. Jeszcze nie wygrał brytyjskiej. Najpierw musimy go zgłosić do zawodów juniorów.

— Masz rację. Gail mówiła, że tuż przed Świętami ma się odbyć taki konkurs w ratuszu.

— W takim razie, polej nam musującego wina! Nasz syn zostanie cze-cze-cze czempionem!

Benowi przyszły do głowy same brzydkie wyrazy.

Bardzo brzydkie.

Jak on się teraz z tego wyplącze?

Miłosna Bomba

Niedzielnny poranek upłynął Benowi pod znakiem przygotowań do konkursu. Mama całą noc siedziała nad szkicami potencjalnych strojów.

Zmuszony wybrać jeden z projektów, chłopiec drżącym palcem wskazał na — jego zdaniem — najmniej ohydny.

Narysowane odręcznie wymysły Mamy zawierały propozycje od zenujących po upokarzające...

Na przykład:

Leśna Gęstwina



Koktajl Owocowy



Pośród Gromów



Nagły Wypadek



Lód i Limonka



Borsuczka Nora



Cukiereczek



Jaja Na Bekonic



Konfetti



Podwodny Świat



Płomienna Miłość



Koreczek Serowy



Układ Słoneczny



Pianista



A za najmniej koszmarny z przekoszmarnych Ben uznał strój o nazwie „Miłosna Bomba”:



— Będziemy musieli znaleźć dla ciebie jakąś miłą koleżankę na partnerkę do tańca! — stwierdziła przejęta Mama i przez nieuwagę wsadziła jeden ze sztucznych paznokci pod igłę maszyny do szycia. Tips eksplodował.

Myśl o partnerce nie przyszła Benowi do głowy. Nie dość, że będzie musiał tańczyć, to na dodatek z dziewczyną! I nie normalną, lecz z połyskliwą, ubraną w trykot, obrzydliwie wypacykowaną starą malutką prosto z solarium.

Ben wciąż jeszcze był w wieku, w którym chłopcy uważają dziewczęta za równie interesujące, co żabi skrzek.

— Nie, nie trzeba, zatańczę sam — wybełkotał.

— Układ solowy! — krzyknęła Mama. — Jak oryginalnie!

— Właściwie, to nie mogę tak tu stać przez cały dzień. Lepiej pójdę trenować — rzekł Ben, wycofując się na górę, do swego pokoju. Zamknął drzwi, włączył radio, po czym wymknął się przez okno i popędził na rowerze do domu Babci.

— Uciekałaś w stronę lasu, gdy lord Davenport zaczął do ciebie strzelać... — Ben z niecierpliwością wyczekiwał dalszego ciągu babcinej opowieści.

Staruszka spojrzała na niego mało przytomnie.

— Tak? — spytała lekko otępiała.

— Właśnie na tym skończyłaś wczoraj opowiadać. Powiedziałaś, że zgarnęłaś pierścionek z sypialni Davenportów i biegłaś trawnikiem, gdy rozległy się strzały...

— A tak, tak — wymamrotała Babcia, z wyraźnym ożywieniem.

Ben uśmiechnął się szeroko. Nagle przypomniał sobie, jak dawniej uwielbiał, gdy Babcia opowiadała mu różne historie. Przenosiły go w magiczny świat, w którym za pomocą wyobraźni można tworzyć obrazy o wiele barwniejsze niż we wszystkich filmach, programach telewizyjnych czy grach komputerowych całego wszechświata.

A tydzień temu udawał, że śpi, żeby uniknąć jednej z babcinych bajek. Najwyraźniej zapomniał już, jak pasjonujące potrafiły być jej opowieści.

— Biegłam i biegłam — mówiła Babcia, zadyszana, jakby naprawdę pędziła przed siebie — aż nagle usłyszałam huk wystrzału. Potem kolejny. Po odgłosie poznałam, że zdecydowanie była to dubeltówka, a nie sztucer...

— Na czym polega różnica?

— Widzisz, sztucer wystrzeliwuje pojedynczy nabój z większą precyzją, podczas gdy dubeltówka strzela deszczem setek śmiertelnych, ołowianych kulek. Byle idiota może cię postrzelić, jeśli wyceluje do ciebie z takiej broni.

— I postrzelił cię? — spytał Ben. Już się nie uśmiechał. Zadrzał.

— Tak, ale na szczęście byłam na tyle daleko, że skończyło się na draśnięciu. Ściagały mnie ujadające psy. Gdyby mnie dopadły, rozszarpałyby na drobne strzępuszki...

Ben z przerażenia wstrzymał oddech.

— W takim razie, jak zdołałaś uciec? — spytał.

— Zaryzykowałam. Nie byłam w stanie przegonić psów. Najszybszy biegacz świata nie dałby im rady. Ale za to świetnie znałam tamtejsze lasy. Przecież całymi godzinami bawiłam się w nich z rodzeństwem. Wiedziałam, że jeśli uda mi się pokonać strumień, psy zgubią trop.

— Jak to?

— Psy nie potrafią tropić, jeśli ścigany zanurzy się w wodzie. A na drugim brzegu rósł rozłożysty dąb. Gdybym się na niego wspięła, byłabym bezpieczna.

Ben nie bardzo potrafił sobie wyobrazić Babcie wspinającą się po schodach, a co dopiero na drzewo. Odkąd pamiętał, mieszkała w swoim parterowym domku.

— Biegłam do strumienia, a mrok przeszywały kolejne strzały — opowiadała dalej. — Potykałam się w ciemnym lesie, aż wreszcie zahaczyłam o wystający korzeń i runęłam twarzą prosto w błoto. Gramoląc się, spojrzałam za siebie i zobaczyłam całą kawalerię, której przewodził lord Davenport. Jeźdźcy dzierżyli w dłoniach dubeltówki i płonące pochodnie. Cały las rozświetlił blask płomieni. Wskoczyłam do strumienia. Pogoda była wtedy mniej więcej taka jak teraz, w środku zimy, a woda — lodowata. Sparaliżowało mnie zimno i ledwie mogłam oddychać. Zakryłam usta dłonią, by nie krzyknąć. Słyszałam głośnie szczekanie dobermanów. Dziesiątki psów. Widziałam ich ostre zębiska, lśniące w świetle księżyca.



Przebrnęłam przez strumień i zaczęłam wspinać się na drzewo. Ręce miałam ubłocone, a nogi i stopy przemoczone, przez co stale ześlizgiwałam się z pnia. Rozgorączkowana wytarłam dłonie o koszulę nocną i spróbowałam wspinaczki jeszcze raz. Wdrapałam się na sam szczyt i starałam się nie ruszać. Słyszałam, że sfera i ludzie Davenporta podążyli w dół strumienia ku innej części lasu. Wściekłe ujadanie powoli ucichło, a po chwili pochodnie stały się jedynie migoczącymi w oddali punkcikami. Byłam bezpieczna. Długie godziny dygotałam na czubku drzewa. Dotrwałam do świtu, zsunęłam się po pniu i ruszyłam do domu. Wślizgnęłam się z powrotem do łóżka i czekałam na wschód słońca.

Ben wyobrażał sobie każdy opisywany przez Babcie szczegół. Jej opowieść pochłonęła go bez reszty.

— Przyjechali cię szukać? — spytał.

— Nikt nie przyjrzał mi się wystarczająco dobrze, więc Davenport rozkazał swoim ludziom przeszukać całą wieś. Każdą chałupę wywrócono do góry nogami w poszukiwaniu pierścionka.

— Nic nikomu nie powiedziałaś?

— Chciałam się przyznać. Czułam straszliwe wyrzuty sumienia. Jednak wiedziałam, że jeśli to zrobię, znajdę się w poważnych tarapatach. Lord Davenport kazałby mnie wychłostać na oczach całej wsi.

— Co więc zrobiłaś?

— Ja... połknęłam go.

Ben nie wierzył własnym uszom.

— Pierścionek? Babciu, połknęłaś pierścionek?

— Uznałam, że to najlepszy sposób na to, żeby go ukryć. We własnym żołądku. Pojawił się znowu kilka dni później, podczas wizyty w toalecie.

— To musiało boleć! — stwierdził Ben, a jego pośladki zacisnęły się na samą myśl. Wypchnięcie pierścionka z diamentem bezpośrednio z własnego zadka w żaden sposób nie mogło być przyjemne.

— Bolało. Potwornie, jeśli mam być szczerą — skrzywiła się Babcia. — Szczęśliwie nasz dom został już przeszukany, zajrzano w każdy zakamarek, no może z wyjątkiem wspomnianych wcześniej zakamarków... — dodała, a Ben zachichotał — ludzie Davenporta ruszyli ze swymi poszukiwaniami do kolejnej wioski. Pewnej nocy wybrałam się do lasu i ukryłam pierścionek tam, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy go szukać — w strumieniu, pod kamieniem.

— Sprytnie! — stwierdził Ben.

— Ten łup był pierwszym z wielu. I najbardziej ekscytującą rzeczą, jaką zrobiłam w życiu. Każdej nocy, leżąc w łóżku, śniłam jedynie o kolejnych rabunkach. Ten pierścionek, to był dopiero początek... — mówiła Babcia szeptem, wpatrując się w młode, niewinne oczy Bena — ... życia przestępcy.

Życie Przestępcy

Godziny mijały niczym minuty, kiedy Babcia wspominała historię każdego ze skradzionych przedmiotów z oszalamiającej kolekcji leżącej na podłodze salonu.

Olbrzymi diadem należał do Pierwszej Damy, żony prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki. Babcia opowiedziała Benowi o tym, jak ponad pięćdziesiąt lat wcześniej, popłynęła tam statkiem wycieczkowym, żeby wykraść klejnot z Białego Domu w Waszyngtonie. Zaś w drodze powrotnej ograbiła z kosztowności każdą z bogatych pasażerek!



Mówiła, jak to kapitan statku złapał ją na gorącym uczynku i jak salwowała się ucieczką, wyskakując za burtę, po czym przepłynęła kilka ostatnich mil przez Ocean Atlantycki do Anglii z całą biżuterią ukrytą we własnych reformach.

Każdy z błyszczących, szmaragdowych kolczyków, które przechowywała u siebie od lat, wart był miliony funtów. Należały niegdyś do maharani, żony bajecznie bogatego maharadży. Staruszka ze szczegółami opisała chłopcu, jak do pomocy w kradzieży zwerbowała stado słoń. Skłoniła zwierzęta, by stanęły jedno na drugim, formując gigantyczną drabinę, dzięki której mogła pokonać mury indyjskiego fortu, gdzie w królewskiej komnacie trzymano precjoza.

Najbardziej niesamowita była opowieść o tym, jak Babcia skradła olbrzymi, niebieski diament oraz szafirową broszę, która połyskując, zdołała teraz jej wytarty dywan. Powiedziała, że klejnot był kiedyś własnością carycy Rosji, która rządziła krajem wraz ze swym mężem, carem, przed wybuchem rewolucji w roku 1917. Przez wiele lat trzymano go w kuloodpornej, szklanej gablocie w Ermitażu — ogromnym muzeum w Sankt Petersburgu — strzeżonej dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku przez nieustraszonych rosyjskich gwardzistów.

Ta kradzież wymagała najmisterniejszego ze wszystkich planów. Babcia schowała się wewnątrz zabytkowej zbroi z czasów Katarzyny Wielkiej. Za każdym razem, gdy żołnierze spoglądali w przeciwną stronę, Babcia przesuwiała się wraz z pancerzem o kilka milimetrów, aż znalazła się wystarczająco blisko broszy. Zajął jej to tydzień.

— Jak w „Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy!”? — spytał Ben.

— Dokładnie tak, młodzieńcze! Potem rozbiłam szklaną gablotę srebrnym toporem, który dzierżyłam w dłoni i złapałam broszę.

— Jak zdołałaś uciec?

— To dobre pytanie... właściwie, jak ja to zrobiłam? — Babcia wyglądała na zbitą z

tropu. — Wybacz, chłopcze, taki wiek. Zapominam o tym i owym.

Ben uśmiechnął się pokrzepiająco.

— Nic nie szkodzi, Babciu.

Ale już po chwili pamięć staruszki zaczęła działać bez zarzutu.

— A tak, pamiętam. Wybiegłam na dziedziniec muzeum, wskoczyłam do lufy olbrzymiej armaty i wystrzeliłam się w bezpieczne miejsce!

Przez chwilę Ben wyobrażał sobie Babcię, przelatującą nad groźną, mroczną Rosją w rycerskiej zbroi. Trudno było w to uwierzyć, lecz jak inaczej ta drobniutka kobiecina mogła zebrać tak zadziwiającą kolekcję bezcennych klejnotów?

Ben uwielbiał babcine opowieści, pełne brawury i zuchwalstwa. W domu nikt mu nie czytał ani nie opowiadał. Jego rodzice, po powrocie z pracy, po prostu włączali telewizor i rozsiadali się na kanapie. Słuchanie starszej pani było tak wciągające, że Ben zapragnął się do niej przeprowadzić. Wtedy mógłby słuchać Babci całymi dniami.

— Chyba nie ma na świecie klejnotu, którego nie zdołałabyś ukraść! — rzekł.

— Ależ jest, chłopcze. Zaraz, zaraz, a co to takiego?

— Co masz na myśli?

Babcia, z wyrazem przerażenia na twarzy, wskazywała na coś znajdującego się za głową wnuczka.

— To... to...

— Co? — spytał Ben, nie mając odwagi, by się odwrócić i przekonać na własne oczy. Ciarki przebiegły mu po plecach.

— Nie odwracaj się — powiedziała Babcia — choćby nie wiem co...



— Co to ma znaczyć, Panie Parker? — powiedziała Babcia, niby przerażona, że zastano ją w dezabilu.

Pan Parker rozglądał się gorączkowo dokoła, zupełnie nie wiedząc, na czym skupić wzrok, aż wreszcie utkwiał go w pustym już dywanie.

— Pani wybaczy, ale muszę zapytać, gdzie podziały się te wszystkie klejnoty, które widziałem tu jeszcze przed chwilą?

Ben dostrzegł jubileuszową puszkę wystającą spod kanapy. Ukradkiem pchnął ją stopą nieco głębiej.

— Jakie klejnoty?! Znow mnie pan szpiegował? — dopytywała Babcia, nadal w bieliźnie.

— No cóż... to znaczy... — bełkotał pan Parker. — Miałem powód. Nabrałem podejrzeń, gdy zobaczyłem tego młodego człowieka na pani posesji. Pomyślałem, że to może być włamywacz.

— Wpuściłam go frontowymi drzwiami.

— To mógł być bardzo czarujący włamywacz. Taki szczerwany lis może podstępem zdobyć kobiece zaufanie.

— To mój wnuk. Nocuje u mnie co piątek.

— Aha! — rzekł pan Parker z satysfakcją. — Ale to nie jest piątkowy wieczór! Widzi więc pani, skąd moja podejrzliwość. Jako przewodniczący Straży Sąsiedzkiej Grey Close mam obowiązek zgłaszać policji każde osobliwe zdarzenie.

— Myślę, że to ja powinienem donieść policji na pana, panie Parker! — stwierdził Ben. Babcia spojrzała na chłopca z ciekawością.

— Niby z jakiego powodu? — spytał mężczyzna, mrużąc oczy. Były teraz tak czerwone, jakby mózg stanął mu w płomieniach.

— Za podglądanie rozneglizowanych starszych pań! — odparł z satysfakcją Ben, a Babcia puściła do niego oko.

— Była całkowicie ubrana, gdy zaglądałem przez okno... — protestował pan Parker.

— Wszyscy tak mówią! — odezwała się Babcia. — A teraz niech się pan wynosi z mego domu, zanim aresztują pana jako podglądacza! Józieńko-Okienko!

— Na tym jeszcze nie koniec. Do widzenia! — rzekł pan Parker, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł. Babcia i Ben usłyszeli trzaśnięcie drzwi i pobiegli do okna, żeby popatrzeć, jak sąsiad gna do swojego mieszkania.

— Chyba go wystraszyliśmy — odezwał się Ben.

— Ale wróci — odparła Babcia. — Musimy być bardzo ostrożni.

— Tak — niepokój Bena wzrósł. — Lepiej znajdziemy na tę puszkę jakieś lepsze miejsce.

Babcia zastanawiała się przez chwilę.

— Masz rację, schowam ją pod podłogą...

— Dobra. Ale najpierw...

— Tak, Ben?

— Może się jednak ubierz.

Brawurowy i Nieprzeciętny

Kiedy Babcia już się ubrała, usiadła obok Bena na kanapie.

— Babciu, zanim zjawił się pan Parker, mówiłaś, że jest jeden klejnot, którego nigdy nie ukradłaś — szepnął Ben.

— Istnieje pewien szczególny łup, który najświetniejsi złodzieje na całym świecie chcieliby dostać w swoje ręce. Ale to niemożliwe. Tego po prostu nie da się zrobić.

— Założę się, Babciu, że ty dałabyś radę. Jesteś najlepszym złodziejem wszech czasów.

— Dziękuję ci, Ben, może rzeczywiście jestem... czy raczej byłam... Kradzież tych konkretnych klejnotów faktycznie jest marzeniem każdego wielkiego złodzieja, ale to byłoby, cóż... niemożliwe.

— Klejnotów? Jest ich więcej niż jeden?

— Tak, mój drogi. Ostatni raz próbowano je ukraść trzysta lat temu. Pokusił się o to bodajże niejaki Kapitan Blood. Królowa chyba nie była szczególnie zadowolona... — zachichotała.

— Nie masz chyba na myśli...?

— KLEJNOTÓW KORONNYCH? Ależ oczywiście, mój chłopcze, że mam.

Ben uczył się o Klejnotach Koronnych w szkole, na lekcji historii. Historia była jednym z niewielu przedmiotów, które lubił, głównie ze względu na wszystkie krwawe kary stosowane w dawnych czasach. „Powieszenie, wleczenie i ćwiartowanie” były absolutnie najlepsze, ale podobało mu się też łamanie kołem, palenie na stosie oraz oczywiście siadanie na rozżaronym pogrzebaczku.

Kto tego nie lubi?

W szkole Ben dowiedział się, że Klejnoty Koronne to tak naprawdę zbiór koron, mieczy, bereł, pierścieni, bransolet i jabłek królewskich, z których część liczyła sobie niemal tysiąc lat. Używano ich przy koronacji nowego króla lub królowej, a od 1303 (roku, nie godziny) trzymano je pod kluczem w Londyńskiej Tower[4].

Ben niejednokrotnie błagał rodziców, żeby zabrali go obejrzeć klejnoty, ale narzekali, że Londyn jest za daleko (bez przesady, wcale nie aż tak).

Szczerze mówiąc, nigdy się nigdzie całą rodziną nie wybrali. Gdy był młodszy, z podziwem słuchał opowieści kolegów podczas ich szkolnych prezentacji na temat rozlicznych przygód: wypadów nad morze, wycieczek muzealnych, a nawet wakacji na kontynencie. Gdy przyszedła kolej na jego wystąpienie, czuł kamień w żołądku. Za bardzo się wstydził przyznać, że jego wakacje sprowadzały się do jedzenia dań z mikrofalówki i oglądania telewizji, więc wymyślał historie o puszczaniu latawców, wspinaniu na drzewa i buszowaniu po zamczyskach.

Teraz jednak miał materiał na prezentację stulecia. Jego babcia była międzynarodowym złodziejem klejnotów. Rabusiem! Z tym, że gdyby o tym opowiedział lub przedstawił jakiś dowód, kobiecina na dobre trafiłaby do więzienia, a klucz do jej celi — na dno Tamizy.

Ben zdał sobie sprawę, że taka Babcia była jego wielką szansą na zrobienie czegoś szalonego, brawurowego i nieprzeciętnego.

— Mogę ci pomóc — rzekł chłopiec opanowanym tonem, choć serce waliło mu jak młotem.

— Pomóc w czym? — spytała staruszka nieco zbita z tropu.

— W kradzieży Klejnotów Koronnych, ma się rozumieć! — odparł Ben.

popisowy numer.

Przeklął się w duchu za tę bezmyślną paplaninę.

Popisowy numer?

To będzie cud, jeśli się nie wyłoży i nie straci przytomności.

— Już nie możemy się doczekać, żeby to zobaczyć! Zostało tylko kilka dni! — powiedziała Mama, nie odrywając wzroku od maszyny do szycia. Pieczołowicie przyszywała setki połyskujących, czerwonych serduszek wzdłuż nogawek lycrowych spodni.

— Wolałbym raczej na razie ćwiczyć sam, no wiesz, Mamo... — Ben przełknął nerwowo. — I pokazać wam układ w całości, no kiedy już będzie gotowy.

— Tak, oczywiście, rozumiem — powiedziała Mama.

Ben westchnął z ulgą. Udało mu się zyskać na czasie.

Ale tylko odrobinę.

Za dwa tygodnie będzie musiał wystąpić solo na oczach całego miasta.

Usiadł na łóżku i sięgnął pod spód po zachomikowaną stertę „Tygodników Hydraulika”. W ubiegłorocznym numerze natknął się na artykuł pod tytułem „Krótka historia hydrauliki”, omawiający szczegółowo niektóre z najstarszych londyńskich systemów kanalizacyjnych. Gorączkowo zaczął przerzucać strony.

Eureka! To jest to!

Setki lat temu Tamiza, na brzegu której wybudowano Londyńską Tower, była otwartym rynsztokiem (z technicznego punktu widzenia oznacza to, że zawartość nocników z całego miasta trafiała właśnie tam).

Z budynków stojących wzdłuż rzeki wychodziły długie rury, wiodące od toalet wprost do wody. W czasopiśmie zamieszczono historyczne schematy przeróżnych znanych londyńskich budynków i zaznaczono miejsca, gdzie dawna kanalizacja zbiegała się z rzeką.

A także...

Palec Bena zjechał w dół o kilka akapitów...

Tak! Schemat rurociągów Londyńskiej Tower.

To mógł być klucz do zrabowania Klejnotów Koronnych. Jedna z rur miała prawie metr szerokości, była wystarczająco duża, by mogło nią wpłynąć dziecko. A może nawet drobna staruszka!

W artykule napisano także, że gdy unowocześniono instalacje hydrauliczne i zamontowano porządną kanalizację, wiele starych rur pozostało na miejscu, żeby nikt nie musiał się trudzić z ich wykopywaniem.



Benowi aż zakręciło się w głowie na myśl o tym, co to mogło oznaczać. Było możliwe, całkiem możliwe, że jakaś wielka rura nadal prowadziła z Tamizy do Londyńskiej Tower, a większość ludzi, oprócz zawziętych entuzjastów hydrauliki, nie pamiętała o jej istnieniu. Ben też by o tym nie wiedział, gdyby od tak dawna nie prenumerował „Tygodnika Hydraulika”.

Razem z Babcią mogli podplnąć taką rurą i dostać się do Tower...

Rodzice nie mieli racji!, pomyślał Ben. Hydraulika jednak potrafi odkręcić kurki

wyobraźni!

Oczywiście mowa była o rurze ściekowej — niezupełnie pachnące rozwiązanie — ale przecież siuski albo kupa, na jakie mogli tam natrafić, miały już setki lat.

Ben nie potrafił stwierdzić, czy to dobra, czy zła wiadomość.

Nagle usłyszał skrzypnięcie desek, a drzwi jego pokoju otworzyły się szeroko. Mama wpadła do środka, trzymając w rękach niepokojąco duży kawałek lycry, który zdawał się być gotowym kostiumem „Miłosna Bomba”.

Ben szybko schował pod łóżkiem czasopismo, dlatego wyglądał, jakby miał coś na sumieniu.

— Chciałam tylko, żebyś to przymierzył — powiedziała Mama.

— Aha — odparł Ben, siedząc niezgrabnie na łóżku i upychając piętami pozostałe „Tygodniki Hydraulika”, żeby Mama ich nie zobaczyła.

— Co to? — spytała. — Co schowałeś, gdy weszłam? Jedno z pisemek dla facetów?

— Nie — odpowiedział chłopiec, przełykając gorzkie poczucie winy. Sytuacja wydawała się jeszcze gorsza, niż była naprawdę. Wyszło na to, że chował pod łóżkiem świńskie czasopisma.

— Nie ma się czego wstydzić, Ben. Zainteresowanie dziewczętami to zdrowy objaw.

No nie!, pomyślał Ben. *Teraz Mama chce gadać ze mną o dziewczynach!*

— Naprawdę nie ma nic wstydliwego w oglądaniu się za dziewczynami.

— Właśnie, że jest! Dziewczyny są obrzydliwe!

— Nie, Ben, to najnaturalniejsza rzecz na świecie...

Nie miała zamiaru przestać!

— KOLACJA PRAWIE GOTOWA, KOCHANIE! — dobiegł krzyk z dołu. — CO TY TAM ROBISZ?

— ROZMAWIAM Z BENEM O DZIEWCZYNACH! — odkrzyknęła Mama.

Ben zrobił się tak czerwony, że gdyby otworzył usta, można by go pomylić ze skrzynką pocztową.

— O CZYM?

— O DZIEWCZYNACH! ROZMAWIAM Z NASZYM SYNEM O DZIEWCZYNACH!

— A, W PORZĄDKU! — odkrzyknął Tata. — WYŁĄCZĘ PIEKARNIK.

— Tak więc, Ben, gdybyś kiedykolwiek potrzebował...

DRYŃ, DRYŃ. DRYŃ, DRYŃ.

W kieszeni Mamy zaczął dzwonić telefon komórkowy.

— Przepraszam, kochanie — powiedziała, przykładając słuchawkę do ucha. — Gail, czy mogę do ciebie oddzwonić? Właśnie rozmawiam z Benem o dziewczynach. OK, dzięki, pa.

Rozłączyła się i odwróciła do Bena.

— Przepraszam, na czym skończyłam? A tak, gdybyś kiedykolwiek potrzebował pogadać na ten temat, chętnie cię wysłucham. Możesz mi zaufać, potrafię zachować dyskrecję...

Planowanie Skoku

Następnego dnia Ben po raz pierwszy w życiu zerwał się ze szkoły. Dzięki zamięłowaniu do hydrauliki odkrył, że słynna Tower miała słaby punkt. Najtrudniejsza do zdobycia ze wszystkich twierdz świata, ta w której życie zakończyło wielu najniebezpieczniejszych zbrodniarzy, miała w swej konstrukcji poważną wadę — dużą rurę ściekową, prowadzącą bezpośrednio do Tamizy.

Ów wiekowy kanał był dla niego i Babci idealną drogą do Tower, i z powrotem! Ten genialny plan sprawił, że nie potrafił spokojnie usiedzieć w ławce.

Dlatego właśnie wagarował.

Nie mógł się już doczekać piątkowego wieczoru, kiedy to rodzice znów wyprawiają go do Babci. Wtedy zamierzał wziąć ze sobą schemat z „Tygodnika Hydraulika”, przedstawić system kanalizacyjny Londyńskiej Tower i spróbować przekonać staruszkę, że razem naprawdę mogą ukraść Klejnoty Koronne. Przez całą noc doszlifowywaliby szczegóły najzuchwalszego skoku wszech czasów.

Problem tkwił w tym, że do piątkowego wieczoru pozostał jeszcze cały tydzień pełen lekcji, nauczycieli i prac domowych. Ben postanowił mądrze wykorzystać ten czas.

Na lekcji informatyki wyszukał stronę internetową na temat Klejnotów Koronnych i zapamiętał wszystkie zamieszczone tam informacje.

Na historii zasypał nauczycielkę pytaniami o Londyńską Tower, szczególnie o to, w którym miejscu dokładnie trzymano klejnoty (dla fanów ciekawostek i faktów dodam, że chodzi o skarbiec).

Na geografii znalazł mapę Wysp Brytyjskich i ustalił dokładne położenie Tower względem rzeki.

Na zajęciach wuefu wyjątkowo nie zapomniał specjalnie swojego stroju, lecz zamiast tego zrobił dodatkową serię pompek, żeby wzmocnić mięśnie ramion, gdyby trzeba było podciągać się w rurze wiodącej do Tower.

Na matmie spytał, ile paczek cukierków Rolo można kupić za pięć miliardów funtów (bo tyle ponoć warte są Klejnoty Koronne). Zdaniem Bena żadne inne słodczyce nie umywały się do Rolo. Z rachunku wychodzi, że można dostać dziesięć miliardów paczek lub dwadzieścia cztery miliardy pojedynczych cukierków. Powinno starczyć przynajmniej na rok.

A Raj z pewnością dorzuciłby mu kilka paczek za darmo.

Na lekcji francuskiego Ben nauczył się mówić: „Nic nie wiem o kradzieży tych — jak wy je nazywacie — «Klejnotów Koronnych», jestem tylko biednym chłopcem z francuskiej wsi”, w razie gdyby trzeba było udawać ubogiego wieśniaka z Francji, by uciec z miejsca zbrodni.

Na hiszpańskim zaś zapamiętał: „Nic nie wiem o kradzieży tych — jak wy je nazywacie — «Klejnotów Koronnych», jestem tylko biednym chłopcem z hiszpańskiej wsi”, w razie gdyby zaszła potrzeba udawać ubogiego wieśniaka z Hiszpanii, by uciec z miejsca zbrodni.

Po niemiecku... cóż, zapewne chwytasz, o co chodziło.

Dalej, na fizyce, Ben zadawał mnóstwo pytań na temat rozbijania kuloodpornych szyb. Nawet jeśli już dostaniesz się do skarbcza, zabranie stamtąd klejnotów nie będzie łatwym zadaniem, ponieważ trzymają je za szkłem grubym na kilka cali.

Na lekcji plastyki Ben wykonał z zapalek makietę Tower of London, uwzględniając wszelkie detale istotne do próbnego przeciwiczenia planowanego, zuchwałego skoku. Tak w miniaturze.



Tydzień zleciał mu w mgnieniu oka, a szkoła nigdy wcześniej nie była taka fajna. A co najważniejsze, po raz pierwszy w życiu Ben nie mógł się doczekać wieczoru u Babci.

Ostatniego dnia szkoły, w piątek popołudniu, Ben czuł, że zebrał wszelkie informacje potrzebne do wdrożenia swego śmiałego planu w życie.

O kradzieży Klejnotów Koronnych z pewnością całe tygodnie trąbić będą w wiadomościach i rozpisywać się na stronach internetowych. Ta historia pojawi się w nagłówkach wszystkich gazet we wszystkich krajach świata. Jednak nikt, absolutnie nikt, nie będzie podejrzewał, że złodziejami byli staruszka i jedenastoletni chłopiec. Zbrodnia stulecia ujdzie im na sucho!

Godziny Odwiedzin

— Dziś nie możesz zostać u Babci — powiedział Tata. Był piątek, czwarta popołudniu, a Ben dopiero co wrócił ze szkoły. Dziwne, że zastał Tatę w domu tak wcześnie. Zazwyczaj kończył swoją zmianę w supermarkecie dopiero koło ósmej.

- Dlaczego nie? — spytał chłopiec, widząc smutek na twarzy Taty.
- Obawiam się, synu, że mam złe wieści.
- Co się stało? — teraz i Ben pobladał z niepokoju.
- Babcia jest w szpitalu.



Nieco później, gdy wreszcie udało im się zaparkować, Ben wszedł wraz z rodzicami do szpitala. Zastanawiał się, czy Mama i Tata zdołają odnaleźć Babcię w tym miejscu. Ogromny budynek był jak pomnik postawiony chorobie.

Z windami, które podwoziły cię do kolejnych wind.

Z kilometrowymi korytarzami.

Z niezrozumiałymi napisami na ścianach:

ODDZIAŁ KARDIOLOGICZNY

RADIOLOGIA

ODDZIAŁ POŁOŻNICZY

SZPITALNY ODDZIAŁ RATUNKOWY

PRACOWNIA REZONANSU MAGNETYCZNEGO

Sanitariusze transportowali zdeorientowanych pacjentów w tę i z powrotem na łózkach lub wózkami inwalidzkimi. Pomiędzy nimi ciągle biegali lekarze i pielęgniarki, którzy sami wyglądali, jakby od wielu dni nie mieli czasu się położyć.

W końcu dotarli na dziewiętnaste piętro jednego ze skrzydeł szpitalnego molocha. Tam lekarze umieścili Babcię.

Ben z początku jej nie poznał.

Z nieulożonymi włosami, bez okularów, bez zębów i w nocnej koszuli zamiast swoich codziennych ubrań, wyglądała tak, jakby odebrano jej te wszystkie elementy, które czyniły ją Babcią. Pozostała jedynie pusta powłoka.

Na ten widok zrobiło się Benowi bardzo smutno, ale starał się to ukryć. Nie chciał jej

denerwować.

— Witajcie, kochani — powiedziała ochryple i nieco bełkotliwie. Ben musiał wziąć głęboki oddech, żeby się nie rozplakać.

— Jak się czujesz, Mamo? — zapytał tata Bena.

— Nie za świetnie — odpowiedziała. — Spadłam.

— Spadłaś? — spytał Ben.

— Tak. Niewiele z tego pamiętam. Sięgałam w spiżarni po słoik zupy kapuścianej i zanim się obejrzałam, leżałam już na linoleum, wpatrując się w sufit. Kuzynka Edna dzwoniła do mnie wielokrotnie z domu pogodnej starości i gdy nie odbierałam, zaniepokojona wezwała karetkę.

— Kiedy się przewróciłaś, Babciu?

— Niech pomyślę, leżałam na kuchennej podłodze przez dwa dni, więc to musiało być w środę rano. Nie potrafiłam wstać, żeby sięgnąć po telefon.

— Bardzo mi przykro, Mamo — powiedział cicho Tata. Ben nigdy wcześniej nie widział ojca tak zdenerwowanego.

— No popatrz, a miałam do ciebie w środę zadzwonić, tak tylko, żeby pogawędzić i sprawdzić, jak się miewasz — skłamała Mama Bena. Ani razu nie zadzwoniła do teściowej, a za każdym razem, gdy to Babcia telefonowała do nich, Mama zawsze błyskawicznie kończyła rozmowę.

— Mieliście o niczym nie wiedzieć, kochana — powiedziała Babcia. — Zrobili rano przeróżne badania, żeby przekonać się, co mi jest; prześwietlenia, tomografię i tym podobne. Jutro dostanę wyniki. Mam nadzieję, że nie zatrzymają mnie tu długo.

— Ja też — powiedział Ben.

Zapadła krępująca cisza.

Nikt nie wiedział, co należało zrobić lub powiedzieć.

Mama szturchnęła Tatę niepewnie i gestem pokazała na zegarek.

Ben wiedział, że w szpitalach czuła się nieswojo. Kiedy dwa lata wcześniej usuwano mu wyrostek robaczkowy, odwiedziła go tylko kilka razy, a nawet wtedy pocila się i wierciła niespokojnie.

— Cóż, będziemy się zbierać — odezwał się Tata.

— Tak, tak, lećcie — odpowiedziała Babcia swobodnym tonem, lecz ze smutkiem w oczach. — Nie martwcie się o mnie, nic mi nie będzie.

— Nie możemy zostać jeszcze trochę? — pisnął Ben.

Mama spojrzała na niego ze zbolaną miną. Tata, od razu rozpoznając to spojrzenie, rzekł:

— Nie, Ben, chodź. Babcia niedługo będzie musiała się przespać. — Wstał i zaczął szykować się do wyjścia. — Mam sporo roboty, Mamo, ale spróbuję wpaść do ciebie w czasie weekendu.

Pogładził swoją matkę po głowie, jak małego pieska. To był nieporadny gest. Tata nie należał do mężczyzn skorych do uścisków.

Ruszył do drzwi, a Mama uśmiechnęła się blado i trzymając Bena za nadgarstek, pociągnęła chłopca za sobą szpitalnym korytarzem.

Wieczorem, siedząc w pokoju, Ben pieczołowicie porządkował wszystkie zdobyte w szkole informacje.

Jeszcze im pokażemy, Babciu, rozmyślał zawzięcie. Zrobię to dla ciebie. Teraz, gdy Babcia zachorowała, bardziej niż kiedykolwiek był pewien, że kradzież klejnotów to doskonały pomysł.

Miał czas do podwieczorku, aby opracować największy skok w historii.

Niewielki Ładunek Wybuchowy

Następnego ranka Mama z Tatą przesłuchiwali piosenkę za piosenką, w poszukiwaniu odpowiedniej muzyki na zbliżające się zawody, a Ben wymknął się z domu i pojechał na rowerze do szpitala.

Po uwieńczonych sukcesem poszukiwaniach właściwego oddziału, zobaczył, że na łóżku Babci przysiadł doktor w okularach. Jednak nie bacząc na to, Ben podbiegł do staruszki, bo chciał wtajemniczyć ją w swój hydrauliczny plan.

Lekarz trzymał Babcie za rękę i przemawiał do niej cicho i powoli.

— Daj nam jeszcze chwilkę, Ben, dobrze? — powiedziała Babcia. — Rozmawiamy z panem doktorem o, no wiesz, damskich sprawach.

— Aha... OK — odparł Ben. Począł z powrotem do poczekalni i zaczął przeglądać mocno sfatygowany egzemplarz „Świata Kobiety”.

Mijając go, lekarz powiedział: „Przykro mi”, po czym wyszedł.

Dlaczego mu przykro?, zastanawiał się Ben, nieśmiało podchodząc do babcinego łóżka.

Babcia ocierała oczy chusteczką, lecz przestała, kiedy spostrzegła zbliżającego się Bena, i wcisnęła ją w rękaw koszuli.

— Wszystko w porządku, Babciu? — spytał delikatnie.

— Tak, nic mi nie jest. Coś wpadło mi do oka.

— To dlaczego lekarz powiedział mi, że mu przykro?

Babcia przez chwilę wyglądała na zmieszaną.

— Hm, cóż, wyobrażam sobie, że żal mu było, że zmarnował wasz czas odwiedzinami, bo okazuje się, że nic złego się ze mną nie dzieje.

— Naprawdę?

— Tak, pan doktor dał mi wyniki. Jestem zdrowa jak rydz.

Ben nie słyszał wcześniej takiego powiedzenia, ale sądził, że musiało oznaczać kogoś w świetnej formie.

— To rewelacyjna wiadomość, Babciu — wykrzyknął. — Słuchaj, wiem, że powiedziałaś „nie”...

— Czy masz na myśli to, o czym myślę, Ben? — spytała Babcia, a chłopiec przytaknął.

— Powtórzyłam „nie” sto razy.

— No tak, ale...

— Ale co, młody człowieku?

— Znalazłem słaby punkt w Londyńskiej Tower. I spędziłem cały tydzień na opracowywaniu planu kradzieży klejnotów. Myślę, że naprawdę może nam się udać.

Ku jego zaskoczeniu Babcia wyglądała na zaintrygowaną.

— Zaciągnij zasłony i mów ciszej — syknęła, podkręcając do maksimum swój aparat słuchowy.

Ben pospiesznie zasłonił łóżko i siadł obok staruszki.

— Zrobimy tak: gdy wybije północ, przeplniemy Tamizę w strojach do nurkowania i

odnajdziemy dawną rurę ściekową, o tutaj — szeptał Ben, pokazując jej precyzyjną rycinę w „Tygodniku Hydraulika”.

— Mamy wpłynąć do środka rurą kanalizacyjną?! W moim wieku! — krzyknęła Babcia. — Chyba oszalałeś, chłopcze!

— Ciii, nie tak głośno — upomniał Ben.

— Wybacz — szepnęła.

— To nie szaleństwo. To genialny pomysł. Rura jest w sam raz szeroka, spójrz...

Babcia uniosła się na łóżku i przysunęła bliżej kuszącej ilustracji. Przystudiowała schemat. Rzeczywiście powinno być wystarczająco szeroko.

— Wystarczy, że wpłyniemy rurą, a dostaniemy się do Twierdzy niepostrzeżenie — tłumaczył dalej Ben. — Wszędzie na terenie budynku są uzbrojeni strażnicy, kamery i czujniki laserowe. Próbując dostać się tam każdą inną drogą, nie mielibyśmy szans.



— Tak, tak, ale jak, u licha, mamy się dostać do skarbcza, gdzie trzymane są klejnoty? — szepnęła.

— Rura kanalizacyjna kończy się w tym miejscu, przy wychodku.

— Że gdzie, proszę?

— No wiesz, wychodek. Po dawnemu toaleta.

— A tak, racja.

— Od wychodka to tylko krótki bieg...

— Ekhem!

— To znaczy, krótki spacer przez dziedziniec do skarbcza. Nocą drzwi są oczywiście pozamykane na dwa spusty.

— Pewnie na trzy! — Babcia wciąż nie wyglądała na przekonaną. Cóż, nie pozostawało nic innego, jak ją przekonać!

— Drzwi są ze stali, więc będziemy musieli przewiercić zamki, żeby je otworzyć...

— Ale korony, berła i te inne, z pewnością trzymane są za kuloodpornym szkłem, Ben

— powiedziała Babcia.

— Tak, ale za to nie jest ono bomboodporne. Zdetonujemy niewielki ładunek wybuchowy, żeby rozbić szybę.

— Ładunek wybuchowy? — prychnęła Babcia. — Skąd my go, do diabła, weźmiemy?

Ben. — Zwiąłem kilka substancji chemicznych ze szkoły — odparł z chytrym uśmieszkiem. — Spoko luz, dam radę spowodować eksplozję na tyle dużą, żeby przebić się przez szkło.

— Ale przecież strażnicy usłyszą huk wybuchu. Nie, nie, nie. Wybacz, ale to się nigdy nie uda! — krzyknęła Babcia najciszej, jak potrafiła.

— O tym też pomyślałem — stwierdził Ben, przez chwilę napawając się swoją pomysłowością. — Wcześniej tego dnia musisz wsiąść do pociągu jadącego do Londynu, udając uroczą staruszkę...

— Ja JESTEM uroczą staruszką! — zaprotestowała Babcia.

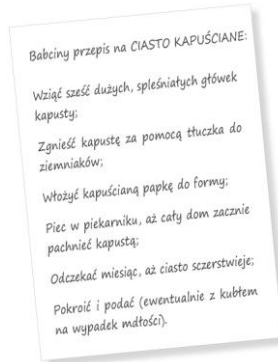
— No wiesz, o co mi chodzi — ciągnął Ben z uśmiechem. — Pod dworcem wsiądziesz do autobusu numer siedemdziesiąt osiem, który wysadzi cię bezpośrednio pod Londyńską Tower.

Następnie poczęstujesz strażników ciastem czekoladowym z dodatkiem czegoś, co sprawi, że usną.

— O, mogłabym zaparzyć dla nich moje specjalne ziółka na sen!

— Tak, eee, fantastycznie — rzekł Ben. — A więc, strażnicy zjedzą ciasto czekoladowe i gdy zapadnie noc, będą już twardo spać.

— Czekoladowe? — oponowała Babcia. — Z pewnością strażnikom bardziej posmakuje moje wyśmienite ciasto z kapustą, domowej roboty.



— Hm... — Ben zaczął się wiercić. Nie chciał zdenerwować Babcii, ale nie było mowy, żeby ktokolwiek dobrowolnie zjadł kawałek jej ciasta, chyba że byłaby to osoba blisko z nią spokrewniona, a i wtedy prawdopodobnie wyplułaby je, korzystając z chwili nieuwagi staruszki.

— Sądzę, że czekoladowe z supermarketu będzie lepsze.

— Wygląda na to, że pomyślałeś o wszystkim. Muszę powiedzieć, że bardzo mi zaimponowałeś. Pomysł, by wykorzystać dawną kanalizację jest fantastyczny.

— Dziękuję. — Ben zarumienił się w przyływie dumy.

— Ale jak na to wpadłeś? Przecież o kanalizacji nie uczą w szkole, prawda?

— Nie. Po prostu... od zawsze uwielbiałem hydraulikę. Przypomniałem sobie, że widziałem te stare rury w moim ulubionym czasopiśmie. — Uniósł egzemplarz „Tygodnika Hydraulika”. — Marzę o tym, żeby zostać kiedyś hydraulikiem.

Spuścił wzrok, spodziewając się, że Babcia go skrytykuje albo zacznie z niego drwić.

— Dlaczego patrzysz w ziemię? — spytała.

— No bo... wiem, że to głupie i nudne chcieć być hydraulikiem. Powinienem rozejrzeć się za czymś bardziej interesującym. — Ben czuł, że robi się czerwony jak burak.

Babcia delikatnie uniosła jego twarz i popatrzyła mu w oczy.

— Nic, co kiedykolwiek zrobisz, nie mogłoby być nudne czy głupie, Ben — powiedziała. — Jeśli chcesz zostać hydraulikiem i o tym właśnie marzysz, nikt nie może ci tego odebrać. Rozumiesz? Jedyne, co możemy zrobić w tym życiu, to podążać za marzeniami. Inaczej marnujemy czas.

— Chyba... chyba tak.

— Ja myślę! Mówisz, że hydraulika jest nudna, a tu proszę bardzo, planujesz kradzież Klejnotów Koronnych, na miłość boską... i to właśnie hydraulika jest kluczem do wszystkiego!

Ben uśmiechnął się. Może Babcia miała rację.

— Ale mam do ciebie pytanie, Ben.

— Tak?

— Jak stamtąd uciekniemy? Plan jest zupełnie do niczego, jeśli mają nas złapać na gorącym uczynku, mój chłopcze.

— Wiem, Babciu, dlatego wymyśliłem, że powinniśmy wydostać się tą samą drogą,

którą wejdziemy, czyli rurą, i wpław przez Tamizę. Jest szeroka tylko na pięćdziesiąt metrów, a ja mam sprawność pływacką za pokonanie dystansu stu metrów. To będzie bułka z masłem.

Babcia przygryzła wargę. Najwyraźniej nie była taka pewna, że cokolwiek z tego będzie bułką z masłem, a już najmniej przepłynięcie nocą rwącej rzeki.

Ben spojrzał na nią pełnymi nadziei oczami.

— To jak Babciu, wchodzisz w to? Nadal jesteś rabusiem?

Staruszka głęboko się zamyśliła.

— Proszę? — błagał Ben. — Strasznie mi się podobały opowieści o twoich przygodach i naprawdę chcę pójść z tobą na skok. A to byłby największy wyczyn rabunkowy ze wszystkich: kradzież Klejnotów Koronnych. Sama powiedziałaś, że to marzenie każdego wielkiego złodzieja. To co, Babciu? Wchodzisz w to?

Babcia spojrzała na rozpromienioną twarz wnuka. Po chwili wymamrotała:

— Tak.

— Ekstra! — Ben wyskoczył z krzesła i uściskał ją.

Babcia uniosła słabe ramiona, by go objąć. Po raz pierwszy od lat naprawdę go przytuliła.

— Ale pod jednym warunkiem — powiedziała śmiertelnie poważnie.

— Jakim? — szepnął Ben.

— Następnej nocy odniesiemy je z powrotem.

Bum Bum Bum

Ben nie mógł uwierzyć w to, co Babcia powiedziała. Nie ma mowy, że zaryzykuje kradzież tych kosztowności tylko po to, żeby je następnej nocy odłożyć na miejsce.

— Ale one są warte miliony, nawet miliardy...

— Wiem. Dlatego z pewnością złapaliby nas, gdybyśmy próbowali je sprzedać — odparła Babcia.

— Ale...!

— Żadnych „ale”, chłopcze. Odniesiemy je następnej nocy. Czy wiesz, jak zdołałam uniknąć więzienia przez te wszystkie lata? Nigdy niczego nie sprzedałam. Robiłam to dla samego rozkosznego dreszczyku emocji.

— Ale je zatrzymałaś — stwierdził Ben. — Może ich nie sprzedałaś, ale trzymasz te wszystkie kosztowności w puszcze na ciasteczka.

Babcia zamrugła.

— Tak, no cóż, byłam wtedy młoda i głupia — odparła. — Od tamtej pory zdążyłam się nauczyć, że kradzież jest złem. I ty też musisz to zrozumieć. — Spojrzała na niego srogo.

— Rozumiem, oczywiście, rozumiem...

— Wpadłeś na błyskotliwy plan, Ben, naprawdę doskonały. Ale te klejnoty nie należą do nas, prawda?

— Nie — odparł Ben. — Nie należą. — Było mu troszeczkę wstyd, że tak bardzo oburzył go pomysł oddania klejnotów.

— Nie zapominaj też... każdy policjant w tym kraju, a może i na całym świecie, będzie szukał Klejnotów Koronnych. Puściłby się za nami cały Scotland Yard[5]. Gdyby je przy nas znaleźli, wtrąciłoby nas do więzienia na resztę życia. W moim przypadku może nie byłoby to długo, ale dla ciebie oznaczałoby nawet siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat.

— Masz rację.

— A Królowa wydaje się być taką miłą kobietą. Właściwie jesteśmy prawie w tym samym wieku. Nie chciałabym jej zdenerwować.

— Ja też nie — mruknął Ben. Widział Królową w wiadomościach mnóstwo razy i wyglądała na miłą starszą panią, uśmiechała się i machała do wszystkich z siedzenia swojego gigantycznego wózka.

— Zróbmy to dla samej przygody. Zgoda?

— Zgoda! — rzekł Ben. — Kiedy możemy zabrać się do dzieła? To musi być piątkowy wieczór, wtedy Mama i Tata zostawiają mnie u ciebie. Lekarz mówił, że kiedy cię wypiszą ze szpitala?

— A tak, tak, powiedział, że mogę wyjść w każdej chwili.

— Świetnie!

— Ale musimy się pospieszyć. Może w następny piątek?

— Nie za szybko?

— Skąd, twój plan wygląda na bardzo dobrze przemyślany, Ben.

— Dziękuję — odparł rozpromieniony chłopiec. Po raz pierwszy w życiu czuł, że ktoś dorosły był z niego dumny.

— Gdy wyjdę ze szpitala, zabiorę się za organizowanie potrzebnego nam sprzętu. A teraz leć już, Ben, zobaczymy się w następnny piątek, o zwykłej porze.

Ben odsunął zasłony... i stanął twarzą w twarz z panem Parkerem, babcinym wścibskim sąsiadem! Przestraszony cofnął się o kilka kroków w stronę łóżka i szybko schował „Tygodnik Hydraulika” pod sweter.

— A co PAN tutaj robi? — spytał Ben.

— Zapewne liczy na to, że podejrzy, jak mnie kąpią! — stwierdziła Babcia.

Ben zachichotał.

Panu Parkerowi na chwilę odebrało mowę.

— Nie, nie, ja...

— Siostra przełożona! SIOSTRO! — wrzasnęła Babcia.

— Zaraz! — zaczął w panice pan Parker. — Jestem pewien, że słyszałem, jak któreś z was wspomniało o Klejnotach Koronnych...

Było już za późno. Siostra przełożona, postawna kobieta o wielkich stopach, tupiąc, pospiesznie pokonała korytarz.

— Słucham? — spytała. — Czy coś się stało?

— Ten mężczyzna podglądał mnie przez zasłony! — odpowiedziała Babcia.

— To prawda? — dopytywała siostra przełożona, mierząc wzrokiem pana Parkera.

— Ale ja... znaczy się... słyszałem, że... — jęczał pan Parker.

— W zeszłym tygodniu podglądał Babcie, jak ćwiczyła nago jogę — dodał Ben.

Twarz pielęgniarki zsiniała z gniewu.

— Wynoś się natychmiast z mojego oddziału, ty mały, obrzydliwy wieprzu! — krzyknęła.

Upokorzony pan Parker cofnął się przed przerażającą kobietą i uciekał gdzie pieprz rośnie. Opuszczając w pośpiechu szpital, zatrzymał się na moment przy drzwiach, by krzyknąć do Babci i Bena: „JESZCZE Z WAMI NIE SKOŃCZYŁEM!”.

— Proszę mnie powiadomić, jeśli ten mężczyzna tu wróci — powiedziała siostra przełożona, a jej twarz zaczęła odzyskiwać normalny kolor.

— Dobrze — odparła Babcia, a waleczna pielęgniarka wróciła do swoich obowiązków.

— On mógł wszystko słyszeć! — syknął Ben.

— Możliwe. Ale myślę, że nasza Walkiria wystraszyła go na dobre!

— Mam nadzieję. — Ben bardzo się martwił tym niefortunnym zdarzeniem.

— Nadal chcesz to zrobić? — spytała Babcia.

Chłopiec czuł się tak jak w wesołym miasteczku, kiedy siedzi się w kolejce górskiej, która powoli podjeżdża pod górę. Jednocześnie ma się ochotę wysiąść i zostać na miejscu. Groza i frajda w jednym.

— Tak!

— Hurra! — powiedziała Babcia i uśmiechnęła się szeroko.

Ben zaczął się zbierać, ale przed wyjściem odwrócił się jeszcze i rzekł:

— Babciu... Kocham cię, Babciu.

— Ja ciebie też kocham, mój Benny — odpowiedziała, puszczając do niego oko.

Ben wzdygnął się. Super było mieć babcię-rabusia, ale miał zamiar nauczyć ją, by mówiła do niego Ben!



Ben biegł kilometrowymi korytarzami, a serce waliło mu jak zepsuta sprężarka.

Bum Bum Bum.

Rozpierała go energia, a w żyłach płynęła czysta adrenalina. Ten jedenastoletni chłopiec, który nigdy nie zrobił niczego godnego uwagi, poza zwymiotowaniem pewnego razu na głowę kolegi w trakcie przejażdżki na diabelskim młynie w miejscowym lunaparku, miał wziąć udział w najbardziej szalonym skoku, jaki widział świat.

Wybiegł ze szpitala i zaczął gmerać przy kluczach, żeby odpiąć rower od poręczy. A potem, uniósł wzrok i zobaczył coś niewiarygodnego.

To była Babcia.

Jej widok sam w sobie nie byłby niezwykły.

Ale w tej chwili ZSUWAŁA SIĘ NA DÓŁ PO ŚCIANIE SZPITALA.



Powiązała ze sobą kilka prześcieradeł i sprawnie zjeżdżała po budynku. Ben nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wiedział, że jego babcia należała do rabusiów z prawdziwego zdarzenia, ale tym numerem przebiła wszystko!

— Babciu, co ty wyprawiasz?! — krzyknął Ben z końca parkingu.

— Winda nie działała, kochanie! Do zobaczenia w piątek. Nie spóźnij się! — odkrzyknęła, dotarłszy na sam dół. Potem wskoczyła na swój skuter inwalidzki i ruszyła z piskiem opon, czy może raczej SZUMEM opon, do domu.



Nigdy wcześniej tydzień nie ślimaczył się tak jak ten.

Ben całe pięć dni spędził na wyczekiwaniu piątku. Każda minuta, każda godzina, każdy dzień ciągnęły się w nieskończoność.

Dziwnie było tak udawać, że był zwykłym chłopcem, gdy tymczasem tak naprawdę stał się jednym z najpotężniejszych mistrzów zbrodni w dziejach ludzkości.

Wreszcie nadszedł piątkowy wieczór. Ktoś zapukał do drzwi Bena. STUK-PUK!

— Gotów, synu? — spytał Tata.

— Tak — odparł Ben, próbując zachowywać się najbardziej niewinnie, jak potrafił, co jest w sumie całkiem trudne, kiedy czujesz potworne wyrzuty sumienia. — Nie musisz mnie jutro odbierać z samego rana, zazwyczaj grywamy z Babcią w scrabble do późna.

— Tym razem nie będzie gry w scrabble.

— Nie?

— Nie, synu. W ogóle nie pojedziesz do Babci.

— O nie! Znowu jest w szpitalu?

— Nie.

Ben odetchnął z ulgą, lecz zaraz zastąpił ją strach.

— No to dlaczego nie jadę do Babci?

Wszystko zaplanowali, nie było czasu do stracenia!

— Ponieważ — rzekł Tata — dziś są mistrzostwa tańca juniorów. Wreszcie doczekałeś się swojej szansy na sukces!

But do Stepowania

Ben siedział w milczeniu z tyłu brązowego autka ubrany w kostium „Miłosna Bomba”.

— Mam nadzieję, że nie zapomniałeś o tych zawodach, Ben — powiedziała Mama z siedzenia pasażera, poprawiając makijaż i niechętny rysując sobie szminką szlaczek na twarzy, gdy mijali zakręt.

— Nie, oczywiście, że nie.

— Nie martw się — ciągnął Tata, dumnie wioząc syna ku tanecznej, wiekopomnej chwili. — Tyle czasu ćwiczyłeś w swoim pokoju, że z pewnością dostaniesz od wszystkich sędziów najwyższe noty. Same dziesiątki!

— Ale co z Babcią? Nie będzie na mnie czekała? — spytał z niepokojem Ben.

Tej nocy mieli przecież ukraść Klejnoty Koronne, a on na własne życzenie dał się złapać w pułapkę konkursu tanecznego, chociaż nie zatańczył w życiu ani jednego kroku.

Przez ostatnie dwa tygodnie unikał myślenia o tym turnieju, ale teraz nie było już odwrotu.

To działo się w rzeczywistości.

Będzie musiał zatańczyć solowy numer.

Którego nie przygotował.

Przed całą widownią...

— O Babcię nic się nie martw — powiedziała Mama. — Ona nawet nie wie, jaki dziś mamy dzień! — śmiech Mamy jeszcze nie ucichł, kiedy samochód nagle zatrzymał się na czerwonym świetle i tusz do rzęs zrobił jej kleksa na czole.

Dotarli do ratusza. Chłopiec zobaczył rwącą rzekę lycry zmierzającą w głąb budynku.

Gdyby ktokolwiek ze szkoły dowiedział się, że Ben zdecydował się na start, nie daliby mu żyć. Dostarczyłoby to łobuzom dość amunicji do naśmiewania, by na zawsze uczynić z jego życia piekło. Co więcej, nie przećwiczył swojego tańca. Ani razu. Jasny gwint, co on robi na scenie?

Zawody miały za zadanie wyłonić najlepszych tancerzy w grupie juniorów w tym regionie. Zarówno dla najlepszej pary, jak i najlepszej tancerki, także dla najlepszego tancerza wyznaczono nagrody.

Wygrana w tym konkursie oznaczała szansę na reprezentowanie hrabstwa, a potem kraju w kolejnych mistrzostwach.

Był to pierwszy krok do międzynarodowego supergwiazdorstwa w świecie tańca. Gospodarzem wieczoru był nikt inny jak sam idol fanów Tańca najślawniejszych sław i ulubieniec mamy Bena, Flavio Flavioli.

— To wielka przyjemność widzieć tu dziś tyle pięknych pań — zamruczał z włoskim akcentem.

Na żywo Flavio wyglądał jeszcze bardziej połyskliwie. Włosy miał zaczesane do tyłu, zęby porażająco białe, a strój przylegający do ciała tak ciasno jak folia spożywcza.

— Gotowi na rumbę?

— Tak! — wrzasnęła zgodnie publiczność.

— Jeszcze raz, głośniej dla Flavio! Pytam, czy jesteście gotowi na rumbę?

— TAK! — krzyknęli widzowie nieco głośniej.

Ben cały w nerwach przysłuchiwał się temu zza sceny. Jedna z kobiet pisnęła rozgorączkowana „Kocham cię, Flavio”! Brzmiała podejrzenie podobnie do jego mamy.

Ben rozejrzał się po garderobie. Równie dobrze można to było nazwać zlotem najbardziej irytujących dzieciaków świata. Wyglądały na eksperyment genetyczny: ponad wiek rozwinięte w tych wszystkich idiotycznych, krzykliwych strojach z lycry, nasmarowane samoopalaczami i z białymi zębami, których blask dostrzegłbyś nawet z Kosmosu.

Ben spojrzął z niepokojem na zegarek, wiedząc, że będzie tragicznie spóźniony na spotkanie z Babcią. Czekał i czekał, gdy wypacykowane manekiny quicksetpowały, jive’owały, walcowały (zwyczajnie i po wiedeńsku), tangowały, fokstrotowały i czaczowały.

Wreszcie nadeszła jego kolej. Stał za kulisą, a Flavio zapowiadał występ.

— A teraz miejscowy chłopak, który zachwyci nas dziś układem solowym. Powitajcie Bena gorącymi brawami!

Flavio spłynął ze sceny, gdy Ben powlókł się na nią w lycrowym kostiumie „Miłosna Bomba”, niewygodnie wpijającym mu się w tyłek.

Stał samotnie pośrodku parkietu, w świetle reflektora. Zaczęła grać muzyka. Modlił się o cud, o jakąkolwiek drogę ucieczki, na przykład:

Alarm przeciwpożarowy,

Trzęsienie ziemi,

III Wojnę Światową,

Kolejną epokę lodowcową,

Śmiercionośny rój morderczych pszczół,

Kosmiczny meteoryt spadający na ziemię i wybijający ją z orbity,

Tsunami,

Atak wygłodniałych zombie na Flavio Flaviolego,

Huragan albo tornado (Ben nie był pewien czym się od siebie różnią, ale zadowoliliby się każdą z opcji),

Mogliby Bena porwać kosmici i nie zwrócić na Ziemię przez tysiąc lat,

Albo niech przez jakiś czasoprzestrzenny portal wrócą na Ziemię dinozaury, rozwalając dach i pożrą wszystkich zgromadzonych,

Mógłby też nastąpić wybuch wulkanu, gdyby nie kłopotliwy fakt, że w pobliżu żadnych nie zauważono,

Atak gigantycznych ślimaków,

Nawet atak takich średnio dużych ślimaków byłby dobry.

Ben nie należał do wybrednych. Jedna z powyżej wymienionych propozycji wystarczyłaby w zupełności.

Muzyka rozbrzmiewała już od jakiegoś czasu, a Ben zdał sobie sprawę, że jeszcze w ogóle się nie poruszył. Spojrzął na rodziców, którzy promienieli z dumy. Wreszcie widzieli swego jedynego syna w światłach rampy.

Zerknął w stronę kulis, skąd wiecznie uśmiechnięty Flavio szczyrzył się do niego zachęcająco.

Proszę, niech teraz rozstąpi się ziemia...

Nic takiego się nie stało.

Musiał coś zrobić.

Cokolwiek.

Ben zaczął poruszać nogami, potem rękami, wreszcie głową. Żadna z części ciała nie poruszała się w rytmie czy w sposób zsynchronizowany i przez następne pięć minut chłopiec rzucał sobą po parkiecie w stylu, który da się określić jedynie jako niezapomniany: choćbyś nie wiem jak chciał go zapamiętać, nie da się.



Kiedy muzyka ucichła, Ben usiłował zakończyć występ efektownym skokiem, ale tylko głucho zderzył się z parkietem.

Zapadła cisza.

Świdrująca cisza.

Nagle Ben usłyszał odgłos klaszczącej pary rąk. Podniósł wzrok.

To była jego Mama.

Potem dołączyła do nich druga para rąk.

To był jego Tata.

Przez kilka sekund Ben myślał, że to może jedna z tych chwil, które widuje się w filmach — słabeusz triumfujący na przekór przeciwnościom. Wtedy wszyscy zebrani na sali zerwaliby się z miejsc, wiwatując i oklaskując chłopca, który wreszcie przyniósł dumę swoim bliskim i wymyślił taniec na nowo.

Koniec.

Ale nie. To nie ta bajka.

Po kilku chwilach rodziców zawstydził fakt, że tylko oni klaszczą, więc przestali.

Na scenę zaś wrócił Flavio.

— Proszę państwa, to było, to było... — po raz pierwszy włoskiemu bożyszczu zabrakło słów. — Poprosimy jurorów o ocenę i punkty dla Bena.

— Zero — powiedział pierwszy.

— Zero.

— Zero.

Jeszcze tylko jeden. Czy Ben zdobędzie cztery zera?

Ale ostatniej jurorce musiało się zrobić żal małego, spoconego chłopca, który okrył hańbą swoją rodzinę i kolejne pokolenia epickim pokazem beztalencia. Przeszukała tabliczki z punktami leżące pod biurkiem i oznajmiła:

— Jeden.

Z widowni dobiegły głośne okrzyki i buczenie, więc poprawiła swój wynik.

— Przepraszam, mam na myśli zero — powiedziała, unosząc wybraną na samym początku tabliczkę.

— Tym razem wyniki przyniosły nieco rozczarowania — powiedział Flavio, nadal bardzo starając się uśmiechać. — Ale Ben, drogi chłopcze, nie wszystko stracone. Jako jedyny startujący solista, niniejszym zostajesz zwycięzcą. Pozwól, że wręcę ci tę oto statuetkę z litego plastiku.

Flavio podniósł tandetnie wyglądające trofeum, przedstawiające tańczącego chłopca i wręczył je Benowi.

— Panie i panowie, chłopcy i dziewczęta, brawa dla Bena!

Znów nastała cisza. Nawet Mama z Tatą nie ośmielili się zaklaskać.

Potem znów zaczęło się buczenie, gwizdy i wrzaski: „WSTYDŹ SIĘ!”, „NIE!” i „TO BYŁO USTAWIONE!”.

Idealny uśmiech Flavio zaczął słabnąć. Nachylił się do Bena i szepnął mu do ucha:

— Lepiej znikaj stąd, zanim cię dorwą.

Dokładnie w tym momencie z tyłu widowni nadleciał but do stepowania. I to z dużą prędkością. Prawdopodobnie celowano nim w Bena, lecz zamiast tego Flavio dostał butem prosto między oczy i nieprzytomny padł na ziemię.



Najwyższy czas znaleźć uprzejmą wymówkę i wyjść, pomyślał Ben.

słowa. Jak tylko Tata otworzył drzwi wejściowe, Ben pognał na górę i zamknął się w swoim pokoju. Usiadł na łóżku wciąż ubrany w „Miłosną Bombę”.

Nigdy w życiu nie czuł się bardziej samotny. Był spóźniony do Babci o całe godziny. Nie tylko rozczarował rodziców, ale na dodatek zawiódł tę jedną osobę, którą pokochał bardziej niż kogokolwiek na świecie, swoją babcię.

Teraz już nigdy nie ukradną Klejnotów Koronnych.

I usłyszał stukanie w szybę.

To Babcia!

Starsza pani ubrana w strój do nurkowania z akwalungiem wspięła się po drabinie do okna jego sypialni.

— Wpuść mnie! — powiedziała teatralnym szeptem.

Ben nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Otworzył okno i wciągnął kobiecinę do środka, tak jak rybak wciąga na pokład szczególnie dużą rybę.

— Jesteś okropnie spóźniony — upomniała go Babcia, gdy Ben podprowadził ją do łóżka.

— Wiem, przepraszam.

— Umawialiśmy się na siódmą. Jest wpół do jedenastej. Środek usypiający, którym poczęstowałam strażników Tower, niedługo przestanie działać.

— Naprawdę bardzo cię przepraszam, to długa historia — rzekł Ben.

Babcia usiadła na łóżku i przyjrzała się Benowi uważnie.

— I dlaczego jesteś ubrany w coś, co wygląda jak szalona kartka walentynkowa? — dopytywała.

— To naprawdę długa historia...

No coś takiego, Babcia sama ubrana w strój płetwonurka i maskę do nurkowania, krytykowała jego kostium. Nie było jednak czasu się tym zajmować.

— Prędko, chłopcze, zakładaj kombinezon i schodź za mną po drabinie. Uruchomię mój skuter.

— Babciu, my naprawdę zamierzamy ukraść Klejnoty Koronne?

— Cóż, na pewno zamierzamy spróbować! — odparła z uśmiechem staruszka.

Złapani Przez Gliny

Przefurkotali przez miasto: Babcia za kierownicą, a Ben z tyłu, uczepony jej pleców. Oboje mieli na sobie stroje i maski do nurkowania, a w koszu z przodu skutera siedziała bezpiecznie torebka staruszki, owinięta w kilometry folii spożywczej.

Babcia zauważyła Raja, zamykającego swój kiosk.

— Witaj Raj, kochany, nie zapomnij odłożyć mi na poniedziałek paczki miętówek Murraya! — zawołała.

Raj spojrział na nich i aż mu szczęka opadła w dół z wrażenia.

— Nie wiem, co w niego wstąpiło, zazwyczaj jest taki rozmowny!



Do Londynu było daleko, szczególnie gdy podróżowało się skuterem wyposażonym w silnik pozwalający jechać w porywach do 4 kilometrów na godzinę (z dwójką pasażerów).

Po jakimś czasie Ben zauważył, że droga coraz bardziej się rozszerza, najpierw na dwa pasy, potem na trzy.

— O w zadek kopane! Jesteśmy na autostradzie! — krzyknął Ben, kiedy ciężarówka omal nie zepchnęła skutera z jezdni siłą dziesięcotonowego podmuchu.

— Mój drogi, pamiętaj, że nie powinieneś przeklinać — skarciła go Babcia. — A teraz trzymaj się, bo będę pędzić, ile maszyna dała!

Chwilę potem minęła ich z hurgotem naprawdę duża cysterna paliwowa, zaledwie centymetry od głów. Kierowca trąbił jak oszalały.

— A żeby tak jego ktoś w zad kopnął! — krzyknęła starsza pani.

— Babciu! — zbulwersował się Ben.

— Ojej, wypsnęło mi się! — powiedziała. Dorośli NIGDY nie dają dobrego przykładu.

— Przykro mi, Babciu, ale myślę, że ten pojazd nie powstał z myślą o autostradach — rzekł Ben. Akurat wtedy przemknęła obok nich, łoskocząc drżąco, jeszcze większa ciężarówka. Ben czuł, jak koła skutera na sekundę unoszą się ponad jezdnią, gdy cień aerodynamiczny zassał go za pędzącym autem.

— Skręcę w następny zjazd — powiedziała Babcia. Ale zanim wykonała ten manewr,

za plecami mieli już migające niebieskie światła. — O nie, to gliny! Może uda mi się ich zgubić. — Babcia depnęła na gaz i skuter skoczył z czterech kilometrów na godzinę do czterech i pół.

Radiowóz jechał obok nich, a policjant gniewnym gestem nakazywał zjechanie na pobocze.

— Babciu, lepiej się zatrzymajmy — powiedział Ben. — Mają nas.

— Załatwię to.

Babcia zgasła silnik skutera inwalidzkiego, a radiowóz zaparkował przed nimi, blokując drogę ucieczki. To był wielki samochód, przy którym skuter wyglądał karłowato, jak... no cóż, jak karzeł przy bardzo wysokiej osobie.

— Czy to pani pojazd? — spytał policjant. Był gruby i miał niewielki wąsik, przez który jego nalana twarz wydawała się jeszcze bardziej obła. Wyglądał też na zadowolonego z siebie, tak jakby upominanie ludzi było dla niego najlepszą rzeczą na świecie. Albo drugą najlepszą, zaraz po pączkach. Plakietka z imieniem głosiła, że zwał się PC Fudge[6].

— Jakiś problem, panie władzo? — spytała niewinnie Babcia, a jej maska lekko zaparowała pod wpływem emocji.

— Zgadza się. Prowadzenie silnikowych skuterów inwalidzkich na autostradzie jest surowo zabronione — odparł policjant protekcyjnym tonem.

(Inne środki transportu wzbronione na autostradach to:

Deskorolka

Canoe

Łyżworolki

Osioł

Wózek na zakupy

Monocykl

Sanie

Riksza

Wielbłąd

Latający dywan

Przebranie strusia)

— Dziękuję bardzo za tę cenną uwagę, panie władzo. Będziemy o tym pamiętać następnym razem. A teraz, jeśli pan wybaczy, jesteśmy już nieco spóźnieni. Do widzenia! — powiedziała Babcia radośnie, uruchamiając skuter.

— Proszę pani, czy pani piła?

— Przed wyjściem z domu zjadłam trochę zupy kapuścianej.

— Mam na myśli alkohol — westchnął mężczyzna.

— Czy liczy się czekoladka z brandy w środku, którą zjadłam we wtorek wieczorem?

Ben nie potrafił powstrzymać chichotu.

PC Fudge zmrużył oczy.

— W takim razie jak wytłumaczy pani fakt, iż jest pani ubrana w strój pletwonurka, a torebkę owinęła folią spożywczą?

To wymagało dłuższych wyjaśnień.

— Ponieważ, ponieważ, hm... — Babcia nieco się zacięła.

Już było po nich.

— Ponieważ należymy do Stowarzyszenia Miłośników Foli Spozywczej — powiedział Ben z powagą.

— Nigdy o nim nie słyszałem! — rzekł PC Fudge lekceważąco.

— Jesteśmy bardzo młodą organizacją — odparł Ben.

— Jak dotąd mamy dopiero dwoje członków — dodała Babcia, podtrzymując kłamstwo. — Wolimy zachowywać dyskrecję, więc spotkania odbywają się pod wodą, stąd ekwipunek nurków.

Policjant wyglądał na kompletnie zbitego z tropu. Babcia nie przestawała mówić, najwyraźniej w nadziei, że zdoła skonsternować go jeszcze bardziej.

— A teraz proszę nam wybaczyć, naprawdę się spieszymy. Musimy dotrzeć do Londynu na ważne spotkanie z członkami Stowarzyszenia Miłośników Foli Bąbelkowej. Rozważamy połączenie tych dwóch organizacji.

PC Fudge zupełnie nie wiedział, co powiedzieć.

— Ile osób należy do ich stowarzyszenia?

— Tylko jedna — odparła Babcia. — Ale jeśli połączymy siły, uda nam się zaoszczędzić pieniądze na torebkach herbaty, kserokopiach, spinaczach i tym podobnych. Do widzenia!

Babcia dotknęła stopą pedału gazu i skuter ruszył.

— PROSZĘ SIĘ ZATRZYMAĆ! — powiedział PC Fudge, wyciągając przed siebie pulchną dłoń.

Ben zamarł z przerażenia. Nie skończył jeszcze dwunastu lat, a już zanosilo się na to, że spędzi resztę życia w więzieniu.

Policjant pochylił się i zbliżył swoją twarz do twarzy Babcia.

— Podwożę was.

Mroczne Wody

— Proszę nas tu wysadzić — powiedziała Babcia, udzielając wskazówek z tylnego siedzenia radiowozu. — O tu, naprzeciw Tower będzie dobrze. Bardzo panu dziękujemy.

PC Fudge z wysiłkiem wyładował skuter z bagażnika.

— Następnym razem proszę pamiętać, że te skutery przeznaczone są jedynie do poruszania się po chodnikach, a nie do jazdy głównymi drogami, a już w szczególności nie autostradami.

— Oczywiście, panie władzo — odpowiedziała z uśmiechem Babcia.

— Cóż, życzę wam powodzenia w tym... eee... foliowo-bąbelkowym przedsięwzięciu.

Z tymi słowy PC Fudge popędził w noc, zostawiając Babcie i Bena wpatrzonych w okazałą, tysiącletnią Tower of London, stojącą na drugim brzegu rzeki. Nocą, z czterema oświetlonymi, kopułowymi wieżami, których odbicie migotało na ciemnej, zimnej powierzchni Tamizy, wyglądała wyjątkowo widowiskowo.

Tower była kiedyś więzieniem, które w różnych momentach historii gościło wielu prześwietnych więźniów (włącznie z przyszłą Królową Elżbietą I, łowcą przygód Sir Walterem Raleighem, bohaterem spisku prochowego Guyem Fawkesem, wysokiej rangi hitlerowcem Rudolfem Hessem, grupą Jedward^{*}). Teraz jednakże twierdza jest muzeum oraz domem dla bezcennych Klejnotów Koronnych, trzymany w specjalnie dla nich wydzielonym budynku zwanym skarbcem.

^{*}Skłamałem na temat Jedward, ale z chęcią widziałbym ich zamkniętych w Londyńskiej Tower za zbrodnie wobec muzyki.

Dziwaczna para rabusiów stanęła na brzegu rzeki.

— Gotów? — spytała Babcia przez maskę całkowicie zaparowaną od siedzenia przez ponad godzinę w policyjnym radiowozie.

— Tak — odpowiedział Ben, drżąc z przejęcia. — Jestem gotów.

Babcia wzięła Bena za rękę i zaczęła odliczać: „trzy, dwa, jeden”, po czym na hasło „jeden” wskoczyli w mroczne wody rzeki.

Woda była lodowata, co czuli mimo ochronnych kombinezonów. Przez parę chwil Ben widział tylko ciemność. Przerazające i jednocześnie ekscytujące doznanie.

Gdy ich głowy wynurzyły się ponad lustro wody, Ben na chwilę wyjął z ust fajkę do nurkowania.

— Wszystko w porządku, Babciu?

— Nigdy jeszcze nie czułam się tak pełna życia. Zaczęli płynąć pieskiem przez rzekę. Ben nie był świetnym pływakiem i czasem zostawał nieco z tyłu. Skrycie żałował, że nie wziął ze sobą nadmuchiwanego rękawków lub chociaż dmuchanego materaca.



Kiedy tor ich wodnej ścieżki przeciął statek wycieczkowy pełen rozkrzyczanych młodych ludzi i jazgoczącej muzyki, Ben stracił Babcię z oczu.

O nie!

Czyżby zgniótł ją ten statek?

Czyżby Babcia spoczywała w wodnym grobie na dnie Tamizy?

— No dalej, ślamazaro! — zawołała Babcia, gdy łódź popłynęła dalej i znów nawiązali kontakt wzrokowy. Ben westchnął z ulgą i brnął dalej przez ciemne, mętne głębiny.

Według schematu z „Tygodnika Hydraulika”, rura kanalizacyjna umieszczona była na lewo od Bramy Zdrajców (to dawne wejście do Tower, dostępne tylko od strony Tamizy, którym wielu więźniów wprowadzano, by zamknąć w twierdzy na resztę życia, lub stracić. Współcześnie Brama Zdrajców została zamurowana, dlatego stare rury to teraz jedyna droga prowadząca do środka bezpośrednio z rzeki).

Wreszcie, ku swej ogromnej radości, Ben odnalazł rurę. Była częściowo zanurzona pod wodą, ciemna i straszna, a wewnątrz głośnym echem odbijało się pluskanie zderzających się ze sobą fal.

Nagle chłopiec zaczął się wahać. Choć naprawdę lubił hydraulikę, nie chciał się czołgać przez kilkusetletni system kanalizacyjny.

— No dalej, Ben — powiedziała Babcia, unosząc się na wodzie. — Nie po to zaszliśmy tak daleko, żeby się teraz poddać.

W sumie, pomyślał Ben, jeśli drobna staruszka da radę, to ja tym bardziej.

Wziął głęboki oddech i podciągnął się do wnętrza rury. Babcia podążyła za nim. Otuliła ich czerń. Po przebyciu kilku metrów chłopiec poczuł, że coś wspina mu się na głowę. Coś jakby go drapało i słyszał popiskiwanie.

Miał wrażenie, że czuje na skórze pazury.

Dotknął dłonią głowy.

Napotkał coś dużego i włochatego.

Wtedy zdał sobie sprawę ze strasznej prawdy.

TO BYŁ SZCZUR!

Czubka jego głowy uczeplił się gigantyczny szczur.

AAAAAAA! — wrzasnął Ben.

Nawiedzony Przez Duchy

Echo powtórzyło krzyk Bena na całej długości kanału. Chłopiec strzepnął z siebie szczura, który wylądował na czołgającej się tuż za nim Babci.

— Biedny szczurek — stwierdziła. — Obchodź się z nim ostrożnie, kochanie.

— Ale...

— On był tu pierwszy. A teraz chodź, musimy się pospieszyć. Usypiające ciasto czekoladowe, które dałam strażnikom, już niedługo przestanie działać.

Dwoje spiskowców podążyło w górę. Było mokro i ślisko, a do tego strasznie śmierdziało (na nieszczęście dla Bena i jego Babci, okazało się, że wiekowa kupa nadal cuchnie).

Po jakimś czasie Ben dostrzegł strumień szarości w otaczających ich ciemnościach. Nareszcie koniec tunelu!

Wygramolił się przez kilkusetletni kamienny wychodek, po czym sięgnął do dziury, żeby pomóc Babci. Oboje od stóp do głów pokryci byli obrzydliwie lepkim, śmierdzącym, czarnym szlamem.

Stojąc wewnątrz zimnej, ciemnej toalety, Ben dostrzegł w ścianie okno bez szyb. Przepicisnęli się przez nie i wylądowali na mokrej trawie dziedzińca Tower.

Przez kilka chwil leżeli tam, spoglądając na księżyc i gwiazdy. Ben wziął Babcię za rękę, a kobieta mocno ścisnęła jego dłoń.

— To niesamowite — rzekł Ben.

— Chodź, kochany — szepnęła. — To dopiero początek!

Chłopiec podniósł się i pomógł jej wstać. Babcia od razu zaczęła odwijać swoją torebkę z zabezpieczającej ją przed zamoczeniem folii.

Zajęło to dobrych kilka minut.

— Zdaje się, że trochę przesadziłam z tą folią. Aczkolwiek zawsze lepiej dmuchać na zimne.

Wreszcie udało jej się pozbyć kilometrowej długości opakowania i Babcia wyjęła mapę, którą Ben wyciął z książki znalezionej w szkolnej bibliotece, aby tych dwoje wątpliwych złodziei mogło zlokalizować położenie skarbcza.

Strasznie i dziwnie było znaleźć się na dziedzińcu Londyńskiej Tower w środku nocy.

Mówi się, że straszą w niej duchy ludzi, którzy tam zginęli. Kilku strażników uciekło w trwodze, twierdząc, że nocą widzieli zjawy Anny Boleyn, Thomasa Becketa i Lady Jane Grey.

Teraz jednak po dziedzińcu krążyło coś jeszcze dziwniejszego.

Babcia w stroju pletwonurka!

— Tędy — szepnęła, a wnuczek ruszył za nią otoczonym murem przejściem. Serce Bena biło tak szybko, jakby miało eksplodować.

Po paru minutach stanęli przed skarbcem, niepokojąco blisko Tower Green^[7] oraz tablicy upamiętniającej tych, którzy zostali tam ścięci lub powieszani. Ben zastanawiał się, czy jego i Babcię także czekała egzekucja, jeśli zostaną złapani na kradzieży Klejnotów Koronnych, i

— Co to? — zapytał Ben, patrząc, jak skrzydlate stwory znikają na tle czarnego nieba.

— Nietoperze?

— Nie, kochany, kruki. Są ich tu całe tuziny. Kruki żyją w Tower od setek lat.

— To miejsce jest upiorne — stwierdził Ben, czując, jak ze strachu zaciska mu się żołądek.

— Szczególnie nocą — zgodziła się Babcia. — A teraz trzymaj się mnie, chłopcze, bo zaraz zrobi się jeszcze upiorniej...

Postać w Ciemnościach

Mieli przed sobą długi korytarz.

To tam właśnie turyści z całego świata czekają w kolejce na swoją szansę zobaczenia Klejnotów Koronnych. Staruszka i chłopiec ruszyli na palcach wzdłuż ścian, zostawiając za sobą plamy śmierdzącej wody z Tamizy.

Wreszcie skręcili i trafili do głównej sali, gdzie trzymano wszystkie klejnoty. Jak słońce wychodzące zza chmur w szary dzień, blask kosztowności oświetlił twarze Bena i Babci.

Para złodziei stanęła w niemym podziwieniu. Rozdziawili usta na widok leżących przed nimi skarbów. Były jeszcze wspanialsze, niż ktokolwiek mógł sobie wyobrazić. To naprawdę najbardziej olśniewająca kolekcja świata.

Drogi czytelniku, nie tylko były to przedmioty piękne i bezcenne, stanowiły także symbol kilkusetletniej historii. Należały do nich:

Korona św. Edwarda, za pomocą której Arcybiskup Canterbury koronował nowych królów lub królowe podczas ceremonii koronacji. Zrobiona jest ze złota, a ozdobiona szafirami i topazami. Szpan!

Brytyjska Korona Państwowa, wysadzana trzema tysiącami kamieni o nieskazitelnym blasku, włącznie z Małą Gwiazdą Afryki (drugim co do wielkości diamentem świata. Nie, nie wiem, gdzie jest Wielka Gwiazda.).

Zapierająca dech w piersiach Państwowa Korona Indyjska, zdobiona około sześcioma tysiącami diamentów oraz okazałych rubinów i szmaragdów. Niestety nie w moim rozmiarze.

Pochodząca z dwunastego wieku Łyżka Koronacyjna, używana do namaszczenia przyszłego króla lub królowej olejem świętym. Nie nadaje się do jedzenia płatków śniadaniowych.

Nie należy zapominać o Ampulli, złotym flaconie w kształcie orła, zawierającym olej święty. To taki naprawdę wytworny termos.

I wreszcie słynne Królewskie Jabłko i Berła. Masa sprzętu.

Gdyby umieścić Klejnoty Koronne w katalogu reklamowym, pewnie wyglądałyby tak:



Babcia wyjęła zwiniętą siatkę z supermarketu, którą nosiła w torebce, gotowa pakować do niej kosztowności.

— Dobra, musimy tylko przebić tę szybę — szepnęła.

Ben popatrzył na nią z niedowierzaniem.

— Nie jestem pewien, czy te wszystkie klejnoty się w to zmieszczą.

— Bardzo mi przykro, mój drogi, ale plastikowe reklamówki sprzedają teraz po pięć pensów, dlatego kupiłam tylko jedną.

Szyba była gruba na parę centymetrów.

Kuloodporna.

Na szczęście Ben przemycił kilka substancji chemicznych ze szkoły i połączył tak, żeby powstało wielkie

B B B B B B B U M M M M M M M M M M M!!!!!!

...gdyby tak je podpalić.

Przymocowali wybuchową mieszankę do szkła za pomocą lepkiej masy plastycznej Blu Tack, a Babcia doczepiła do niej jeden koniec różowej włóczki (wełna miała zadziałać jako idealny lont). Potem odszukała zapalki. Musieli się tylko upewnić, że są poza zasięgiem eksplozji. Inaczej mogliby wysadzić również siebie.

— A teraz, Ben — szepnęła Babcia — odsuńmy się jak najdalej od gabloty.

Cofnęli się za winkiel, rozwijając po drodze różową nić.

— Czy chcesz podpalić lont? — spytała Babcia.

Ben pokiwał głową. Naprawdę chciał to zrobić, ale ręce mu się trzęsły z nerwów i nie wiedział, czy da radę.

Otworzył pudełko. Tylko dwie zapalki.

Spróbował zapalić pierwszą z nich. Drżenie rąk było tak silne, że zapalka się złamała.

— Ojej — szepnęła Babcia. — Spróbuj jeszcze raz.

Ben wziął do ręki drugą zapalkę.

Spróbował ją zapalić, ale bez skutku. Musiała zamoknąć od wody wyciekającej mu z rękawa kombinezonu. Teraz i zapalka, i pudełko były do niczego.

— Niiieeee! — krzyknął zdesperowany Ben. — Rodzice mieli rację. Jestem nieudacznikiem. Nie potrafię nawet zapalić zapalki!

Babcia przytuliła wnuka.

A ich kombinezony zapiszczały z cicha.

— Nie mów tak, Ben. Jesteś niezwykłym młodym człowiekiem. Daję słowo. Odkąd spędzamy ze sobą tyle czasu, jestem sto razy szczęśliwsza, niż potrafiłabym to wyrazić słowami.

— Naprawdę?

— Naprawdę. A ty jesteś bardzo inteligentny. Sam zaplanowałeś ten niewiarygodny skok, a masz tylko jedenaście lat.

— Prawie dwanaście — poprawił ją Ben.

Babcia zachichotała.

— Wiesz, o co mi chodziło. Ilu dzieciaków w twoim wieku mogłoby wymyślić tak śmiały plan?

— Ale teraz nie zdołamy ukraść Klejnotów Koronnych, więc to wszystko było wielką stratą czasu.

— Jeszcze nie koniec — powiedziała Babcia, wyciągając z torby słoik zupy kapuścianej. — Zawsze możemy spróbować starych i sprawdzonych, brutalnych metod!

Babcia podała wnukowi broń, nie tylko biologiczną. Ben wziął ją z uśmiechem i podszedł do gąbki.

— No to uwaga! — powiedział Ben i zamachnął się, żeby uderzyć w szkło.

— Proszę tego nie robić — odezwał się głos pośród cieni.

Ben i Babcia zamarli z przerażenia.

Czy to duch?

— Kto tam jest? — zawołał Ben.

Postać weszła w krąg światła.

To była Królowa.

Audiencja u Królowej

— Co, na Boga, pani tu robi? — spytał Ben. — Eee... to znaczy, co pani tu robi, Wasza Wysokość?

— Przechadzam się po Twierdzy, kiedy nie mogę zasnąć — odpowiedziała Królowa. Mówiła w ten charakterystyczny dla niej, wytworny sposób. Ben i Babcia ze zdumieniem dostrzegli, że ubrana była w koszulę nocną i włochate papucie w kształcie psów rasy Corgie. Na głowie zaś miała koronę koronacyjną. To był najwspanialszy ze wszystkich Klejnotów Koronnych. To właśnie tę koronę Arcybiskup Canterbury włożył Elżbiecie na głowę podczas koronacji na Królową w 1953 roku. Sama korona, powstała w 1661 roku ze złota, diamentów, rubinów, pereł, szmaragdów i szafirów.

Był to styl bardzo wyrafinowany, nawet jak na Królową!



— Przychodzę tu rozmyślać — mówiła Królowa. — Kazałam szoferowi przywieźć się z Pałacu Buckingham Bentleyem. Za kilka tygodni mam wygłosić świąteczne orędzie do narodu i muszę dokładnie przemyśleć, co chcę powiedzieć. Człowiekowi zawsze lepiej się myśli z koroną na głowie. Jednak prawidłowo postawione pytanie brzmi, co WY tutaj robicie, do diaska?

Ben i Babcia spojrzeli na siebie zawstydzeni.

Upomnienia same w sobie nigdy nie były przyjemne, ale dostać burę od Królowej podchodziło pod zupełnie inny poziom zbesztania, co zademonstruje ten oto diagram:



— I dlaczego oboje pachniecie zawartością nocnika, jeśli łaska? — indagowała Królowa. — Czekam.

— Ja jestem wszystkiemu winna, Wasza Wysokość — rzekła Babcia, pochylając głowę.

— Wcale nie — zaprotestował Ben. — To ja zaproponowałem kradzież Klejnotów Koronnych. Ja Babcię do tego namówiłem.

— To prawda — powiedziała Babcia — ale co innego miałam na myśli. Sama rozpoczęłam całą tę awanturę, gdy zaczęłam udawać międzynarodowego złodzieja klejnotów.

— Co? — krzyknął Ben.

— Słucham? — odezwała się Królowa. — To szalenie konfundujące.

— Mój wnuk nie znośił zostawać u mnie w piątki — tłumaczyła Babcia. — Jednej nocy usłyszałam, jak rozmawiał z rodzicami przez telefon i narzekał, jaka jestem nudna...

— Ale Babciu, ja już wcale tak nie myślę! — protestował Ben.

— W porządku, Ben, wiem, że od tamtej pory trochę się pozmieniało. Szczerze mówiąc, BYŁAM nudna. Po prostu lubiłam zajadać się kapustą i grać w scrabble, a w głębi duszy wiedziałam, że ty tego nie znośisz. Dlatego wymyślałam historie na podstawie przeczytanych książek, żebyś miał więcej rozrywki. Opowiedziałam ci, że jestem niesławnej pamięci złodziejem zwanym tajemniczo „Czarnym Kotem”...

— A te wszystkie diamenty, które mi pokazałaś? — powiedział Ben, zszokowany i zły, że został oszukany.

— Są bez wartości, kochany — odpowiedziała Babcia. — Zrobione ze szkła. Znalazłam je w starym pudełku po lodach w miejscowym ciucholandzie.

Ben wpatrywał się w staruszkę. Nie mógł w to uwierzyć. Cała ta niesamowita historia była zmyślona.

— Nie mogę uwierzyć, że mnie okłamałaś!

— Ja... bo ja... — zaczęła Babcia nieskładnie.

Ben piorunował ją wzrokiem.

— Jednak nie jesteś moją babcią-rabusiem — stwierdził.

W skarbcu zapanowała śmiertelna cisza.

Przerwało ją raczej głośne i wyraźnie dystygowane kasznięcie.

— Ekhem — powiedział prawdziwie imperialny głos.

Królowa wyglądała na głęboko zamyśloną.

— Doprawdy nie wiem, co robić — powiedziała wreszcie. — Wzrusza mnie wasza historia. Jak wiecie, sama też jestem babcia, a moje wnuki czasem uważają mnie za nudziarę.

— Naprawdę? — spytał Ben. — Ale przecież jest pani Królową!

— Wiem — zaśmiała się Królowa.

Ben osłupiał. Nigdy wcześniej nie widział, żeby Królowa się śmiała. Zazwyczaj była taka poważna. Przemawiając w telewizji nigdy się nie uśmiechała, otwierając posiedzenie parlamentu też nie, ani nawet oglądając komików podczas Royal Variety Show.

— Dla nich jednak jestem tylko ich nudną, starą babcia — mówiła. — Zapominają, że kiedyś też byłam młoda.

— I że sami też się zestarzeją — dodała Babcia, spoglądając znacząco na Bena.

— Otóż to, moja droga! — zgodziła się Królowa. — Uważam, że młode pokolenie powinno poświęcać starszym trochę więcej czasu.

— Przepraszam, Wasza Wysokość — powiedział Ben. — Gdybym nie był tak samolubny i nie marudził, jacy to starzy ludzie są okropni, nie doszłoby do tego wszystkiego.

Nastąpiła krępująca cisza.

Babcia poszperała w swojej torbie i zaoferowała Królowej łakocie.

— Może miętówkę Murreya, Wasza Wysokość?

— Z przyjemnością — powiedziała Królowa, rozpakowała cukierka i włożyła do ust.

— Rety, całe wieki ich nie jadłam.

— Moje ulubione — odparła Babcia.



— I tak długo się nie rozpuszczają — dodała Królowa, ssąc miętówkę, nim na nowo przyjęła bardziej formalny ton. — Czy wiecie, co stało się z ostatnim człowiekiem, który próbował skraść Klejnoty Koronne?

— Został powieszony, wleczony i poćwiartowany? — spytał Ben z nadzieją.

— Możecie wierzyć lub nie, ale został ułaskawiony — odpowiedziała z krzywym uśmiechem Królowa.

— Jak to ułaskawiony, Wasza Wysokość? — spytała Babcia.

— W 1671 roku próbował je ukraść Irlandczyk, niejaki Pułkownik Blood, lecz strażnicy złapali go podczas próby ucieczki. Tę oto koronę, którą mam na sobie, skrył pod peleryną i upuścił na ziemię tuż za bramą. Król Karol II był tak rozbawiony zuchwałym czynem pułkownika, że okazał swą królewską łaskawość.

— Muszę go zgooglować — stwierdził Ben.

— Nie wiem, co to jest to googlowanie — powiedziała Babcia.

— Ani ja — zachichotała Królowa. — Tak więc, hołdując królewskiej tradycji, zamierzam zrobić to samo. Ułaskawię was oboje.

— Och, dziękujemy ci, Wasza Wysokość — powiedziała Babcia, całując jej dłoń. Ben padł na kolana.

— Dziękuję, dziękuję, bardzo dziękuję, Wasza Wysokość.

— Tak, dobrze, przestań się płaszczyć — rzekła Królowa wyniośle. — Nie znoszę takiego płaszczenia się. Zdecydowanie zbyt wielu czołgających się, unizonych sługusów

spotkałam za swego panowania.

— Proszę wybaczyć, Wasza Najwyższa Królewska Jejmość — powiedziała Babcia.

— Dokładnie o tym mówię! Właśnie się pani płaszczy! — odparła Królowa.

Ben z Babią przestraszeni spojrzeli po sobie.

Ciężko było rozmawiać z Jej Wysokością nie płaszcząc się chociaż odrobinę.

— A teraz zmykajcie stąd czym prędzej, proszę — powiedziała — zanim to miejsce zacznie roić się od strażników. I nie zapomnijcie oglądać mnie w Świeta w telewizji...

Uzbrojona Policja

Gdy wtoczyli się na Grey Close, zaczynało już świtać. Tym razem nie napotkali radiowozu, który mógłby ich podwieźć. Z Londynu do domu na skuterze inwalidzkim jest kawał drogi. Ruszyli poprzez ograniczającą prędkość garby, bęc, bęc, bęc, i dowarkotali na podjazd Babci.

— Ale noc! — westchnął Ben.

— O tak, rany Julek, cała zeszywniałam od siedzenia na tym przez tyle czasu — powiedziała Babcia, rozprostowując swoje stare i zmęczone ciało i schodząc ze skutera. — Wiesz Ben, przykro mi — dodała po chwili. — Naprawdę nie miałam zamiaru cię zranić. Ale tak przyjemnie było mi z tobą, że nie chciałam, żeby to się skończyło.

— Nic nie szkodzi — odparł Ben z uśmiechem. — Rozumiem, dlaczego to zrobiłaś. Nie martw się. Nadal jesteś moją Babcią-Rabusiem!

— Dziękuję ci — odpowiedziała cicho. — Tak czy owak, sądzę, że mocnych wrażeń wystarczy nam do końca życia. Chcę, byś teraz wrócił do domu, był grzecznym chłopcem i skupił się na hydraulice...

— Tak zrobię, obiecuję. Żadnych więcej skoków — zachichotał Ben.

Nagle Babcia zamarła.

Spojrzała w górę.

Ben słyszał nadlatujący z furkotem helikopter.

— Babciu?

— Ciii...! — Babcia podkręciła aparat słuchowy na wyższą częstotliwość. — To więcej niż jeden helikopter. To brzmi jak cała eskadra.

I000-I000-I000-I000!

Zewsząd rozległo się wycie policyjnych syren i po paru chwilach ze wszystkich stron otoczyła ich ciężko uzbrojona armia policjantów. Babcia i Ben nie byli w stanie dostrzec żadnego ze stojących obok domków przez kordon funkcjonariuszy w kuloodpornych kamizelkach. Warkot policyjnych helikopterów był tak ogłuszający, że Babcia musiała teraz przykręcić sobie aparat słuchowy.

Z jednego helikoptera dobiegł ich megafonowy głos.

— Jesteście otoczeni. Odlóżcie broń. Powtarzam: rzućcie broń albo otworzymy ogień.

— Nie mamy żadnej broni! — odkrzyknął Ben. Jeszcze nie przeszedł mutacji, więc zabrzmiał trochę jak dziewczyna.

— Nie kłóć się z nimi, Ben. Po prostu podnieś ręce do góry! — przekrzykiwała hałas Babcia.



Para rabusiów uniosła ręce. Kilku wyjątkowo odważnych policjantów przeszło do szturmów, celując karabinami prosto w Babcie i Bena, po czym popchnęli ich i przygwoździli do ziemi.

— Nie ruszać się! — odezwał się głos z helikoptera, a Ben pomyślał sobie, *Jak niby miałbym się ruszyć, gdy wielki policjant klęczy mi na plecach?*

Mrowie odzianych w rękawiczki dłoni przewędrowało po ich ciałach z góry na dół i przeszukało torebkę Babcie, zapewne w poszukiwaniu broni. Mieliby więcej szczęścia, gdyby szukali zużytych chusteczek. Niebezpiecznych narzędzi nie znaleźli.

Ben i Babcia zostali zakuci w kajdanki i postawieni na nogi. Zza muru policjantów wystąpił starszy pan z wielkim nosem i w śmiesznym kapelusiku.

Wścibski sąsiad Babcie.

Pan Parker.

Paczka Cukru

— Myśleliście, że uda wam się ukraść Klejnoty Koronne, tak? — zawodził pan Parker. — Przejrzałem wasz nikczemny plan. Ale to już koniec. Panowie, proszę ich zabrać. Zamknąć i wyrzucić klucz!

Policjanci pociągnęli zatrzymanych w stronę czekających radiowozów.

— Moment! — krzyknął Ben. — Jeśli ukradliśmy Klejnoty Koronne, to gdzie one teraz są?

— A tak, oczywiście! Dowody. Tego nam potrzeba, żeby na zawsze wsadzić tę parę złodziejasków za kratki. Natychmiast przeszukać kosz przy skuterze! — powiedział pan Parker.

Jeden z policjantów przegrzebał kosz i znalazł duży pakunek owinięty przemoczoną folią spożywczą.

— Ha, tak, to na pewno klejnoty — rzekł z przekonaniem pan Parker. — Dajcie mi to.

Pan Parker posłał Babci i Benowi spojrzenie pełne satysfakcji i zaczął rozwijać pakunek.

Sporo minut upłynęło, nim wielka paczka stała się paczuszką. Wreszcie wścibski sąsiad dotarł do końca folii.

— Oto dowody! — oznajmił, a na ziemię wyleciał słoik zupy kapuścianej.

— Czy mogłabym to odzyskać, panie Parker? — powiedziała Babcia. — To mój lunch.

— Przeszukać dom! — warknął pan Parker.

Kilku policjantów usiłowało wyważyć drzwi, napierając na nie ramionami. Babcia przyglądała się temu z rozbawieniem.

— Mam tu klucze, jeśli sobie panowie życzą! — odezwała się wreszcie.

Jeden z funkcjonariuszy podszedł i nieco zakłopotany wziął klucz.

— Dziękuję pani — powiedział uprzejmie.

Babcia i wnuczek uśmiechnęli się do siebie.

Policjant otworzył drzwi i chyba setka mundurowych wtargnęła do środka. Gorączkowo przeszukiwali mieszkanie, lecz po niedługim czasie wyszli stamtąd z pustymi rękami.

— Obawiam się, sir, że nie ma tam Klejnotów Koronnych — powiedział jeden z mężczyzn. — Znaleźliśmy jedynie planszę do scrabble i jeszcze więcej zupy.

Pan Parker aż cały poczerwieniał z furii. Wezwał połowę funkcjonariuszy służących w tym kraju i wszystko na próżno.

— Niech się pan cieszy, panie Parker — dodał inny policjant — że nie aresztujemy pana za marnowanie policyjnych środków...

— Chwileczkę! — odparł. — Tylko dlatego, że nie mają klejnotów ani przy sobie, ani w domu, to nie znaczy, że ich gdzieś nie ukryli. Wiem, co słyszałem. Przeszukajcie... ogród! O! Przekopcie ogród!

Policjant uniósł dłoń, żeby go uspokoić.

— Panie Parker, nie możemy tak po prostu...

Nagle triumf błysnął w oku pana Parkera.

— Zaraz, zaraz. Nie spytał ich pan, gdzie byli wczoraj wieczorem. Ja WIEM, że udali się kraść Klejnoty Koronne. I założę się, że nie mają na tę noc alibi!

Marszcząc brwi, funkcjonariusz zwrócił się do Bena i Babci.

— Właściwie to całkiem niezła uwaga. Mogliby państwo powiedzieć, gdzie spędzili wieczór?

Pan Parker wręcz promieniał.

Jednak w tym momencie przydreptał do nich kolejny policjant. Wydawał się dziwnie znajomy, a kiedy Ben dostrzegł jego wąsy, wiedział już dlaczego.

— Szeffie, odebraliśmy właśnie komunikat do pana... — zaczął PC Fudge, podając przełożonemu krótkofalówkę. Zatrzymał się w pół słowa i wpatrywał w Babcię i Bena. — No proszę! To przecież miłośnicy folii!

— PC Pear! — zawołał Ben.

— Fudge! — poprawił Fudge.

— A tak, przepraszam, Fudge. Fajnie znów pana widzieć.

— Przepraszam? — starszy oficer był zбитy z tropu.

— Chłopak i jego babcia. Należą do Stowarzyszenia Miłośników Folia Spożywczej. Wieczorem jechali na doroczne zebranie stowarzyszenia w Londynie. Właściwie sam ich tam podrzuciłem.

— Zatem nie kradli Klejnotów Koronnych? — spytał szef.

— Nie! — roześmiał się PC Fudge. — Połączyli się ze Stowarzyszeniem Miłośników Folia Bąbelkowej. Kradzież Klejnotów Koronnych, też coś! — Uśmiechnął się do Babci i Bena. — A to dobre!

Pan Parker znów zrobił się czerwony jak burak.

— Ale... ale... Oni to zrobili! Mówię wam, że to złoczyńcy!

Podczas gdy on się pieklił, starszy oficer wziął od Fudge'a krótkofalówkę.

— Tak. Aha. W porządku. Dziękuję — powiedział, po czym zwrócił się do pary przestępców. — Rozmawiałem z wydziałem antyterrorystycznym. Prosiłem, żeby sprawdzili status Klejnotów Koronnych. Okazuje się, że nadal są na swoim miejscu. Przepraszam panią. I chłopca. Za moment zdejmemy państwu kajdanki.



Pan Parker przygarbił się i wyglądał na zdruzgotanego.

— Nie, to niemożliwe...

— Jeśli usłyszę od pana jeszcze jedno słowo, panie Parker — rzekł policjant — zatrzymam pana na noc w celi! — Odwrócił się na pięcie i poszedł do jednego z wozów patrolowych. PC Fudge, machnąwszy niedoszłym rabusiom na pożegnanie, ruszył za nim.

Staruszka i jej wnuczek, nadal skuci ze sobą kajdankami, podeszli do pana Parkera.

— To, co pan słyszał, to były tylko historyjki — powiedział Ben. — Babcia po prostu opowiadała mi bajki, panie Parker. Myślę, że trochę poniosła pana wyobraźnia.

— Ale, ale, ale...! — złościł się mężczyzna.

— Ja miałabym być międzynarodowym rabusiem? — zachichotała Babcia.

Policjanci też zaczęli się śmiać.

— Musiałby pan być trochę szurnięty, żeby uwierzyć w coś takiego! — stwierdziła. —

Wybacz, Ben — szepnęła do wnuczka.

— Nie ma sprawy — szepnął chłopiec.

Funkcjonariusze zdjęli im kajdanki i pospiesznie wycofali się do swoich wozów, po czym opuścili Grey Close.

— Przepraszam za nieprzyjemności, proszę pani — rzekł jeden z odjeżdżających policjantów. — Miłego dnia.

Helikoptery zniknęły za jaśniejącym horyzontem. Gdy wznosiły się w powietrze, z głowy pana Parkera zwiąło jego cenny kapelusik, który wylądował w kałuży.

Babcia podeszła do sąsiada, stojącego z gołą głową na jej podjeździe.

— Jeśli kiedyś będzie pan potrzebował pożyczyć paczkę cukru... — odezwała się dobrotliwie.

— Tak...

— Proszę nie przychodzić do mnie, bo wepchnę panu ten cukier tam, gdzie słońce nie dochodzi — powiedziała ze słodkim uśmiechem.

Złota Poświata

Wzeszło słońce i skapało Grey Close w złotej poświacie. Ziemię pokryła rosa, a domki spowiła niesamowita mgła, sprawiając, że wyglądały czarodziejsko.

— No cóż — westchnęła Babcia. — Lepiej zmykaj do domu, drogi chłopcze, zanim rodzice się obudzą.

— Ja ich nie obchodzę — odparł Ben.

— Oczywiście, że obchodzisz — powiedziała, nieśmiało obejmując wnuka ramieniem. — Tylko nie potrafią tego okazać.

— Może — stwierdził Ben i ziewnął największy ziew swojego życia. — Niech to cieknący kurek, ale jestem zmęczony. Ta noc była ekstra!

— To była najbardziej porywająca noc mojego życia, Ben. Za nic w świecie bym tego nie przegapiła — powiedziała Babcia z figlarnym uśmiechem. Wzięła głęboki oddech. — Życie to taka radość.

Nagle jej oczy wypełniły się łzami.

— Babciu, wszystko w porządku? — zapytał cichutko Ben.

Babcia odwróciła twarz od wnuczka.

— Wszystko dobrze, dziecko, naprawdę — jej głos zadrżał w rozterce.

I Ben był pewien, że działo się coś złego.

— Proszę cię, Babciu, możesz mi powiedzieć. — Wziął ją za rękę. Jej skóra była miękka, ale zniszczona. Krucha.

— Widzisz, kochany... — zawahała się. — Jest jeszcze jedna rzecz, o której nie powiedziałam ci prawdy.

Ben miał okropne przeczucie.

— Co masz na myśli? — spytał, ściskając jej dłoń pogrzipiająco.

— W zeszłym tygodniu lekarze pokazali mi wyniki badań i powiedziałam ci, że nic mi nie jest. To było kłamstwo. Wcale nie jest ze mną dobrze. — Babcia przerwała na chwilę. — Mam raka.

— Nie, nie... — Benowi również łzy napłynęły do oczu. Słyszał o tej chorobie wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że jest śmiertelnie poważna.

— Zanim wpadłeś w szpitalu na pana doktora, powiedział mi, że mam raka i że choroba jest w bardzo zaawansowanym stadium.

— Ile czasu ci zostało? — wybełkotał Ben. — Powiedzieli ci?

— Lekarz sądzi, że nie doczekam Bożego Narodzenia.

Ben przytulił się do Babci, z całych sił pragnąc podzielić się z nią swą siłą życiową.

Łzy płynęły mu po policzkach. To było takie niesprawiedliwe — ledwie zdążył poznać Babcie, a już miał ją stracić.

— Nie chcę, żebyś umarła.

Babcia przyglądała się wnuczce przez chwilę.

— Nikt z nas nie będzie żył wiecznie, mój chłopcze. Ale mam nadzieję, że nigdy o

mnie nie zapomnisz. O swojej nudnej, starej babci!

— Wcale nie jesteś nudna. Jesteś prawdziwym rabusiem! Pamiętaj, że mało brakowało, a ukradlibyśmy Klejnoty Koronne!

Babcia zachichotała.

— Tak, ale proszę cię, nikomu o tym ani słowa. Mógłbyś mieć nie lada kłopoty. Niech to będzie nasza mała tajemnica.

— Nasza i Królowej! — powiedział Ben.

— Faktycznie! Taka miła z niej kobieta.

— Nigdy cię nie zapomnę, Babciu. Na zawsze pozostaniesz w moim sercu.

— To najmiłsza rzecz, jaką w życiu usłyszałam — powiedziała staruszka.

— Strasznie cię kocham, Babciu.

— Ja ciebie też kocham, Ben. Ale lepiej już leć do domu.

— Nie chcę cię zostawiać.

— To uroczo z twojej strony, kochanie, ale jeśli Mamusia i Tatuś wstaną, i zobaczą, że cię nie ma, będą się bardzo martwić.

— Nieprawda.

— Ależ tak. Proszę, Ben, bądź grzecznym chłopcem.

Ben niechętnie wstał i pomógł Babci podnieść się ze schodka. Potem przytulił ją i ucałował w policzek. Nie przeszkadzał mu jej włochaty podbródek. Właściwie to go uwielbiał.

Uwielbiał też gwizd jej aparatu słuchowego. I to, że śmierdziała kapustą. A najbardziej ze wszystkiego, kochał to, że puszczała wiatry w ogóle nie zdając sobie z tego sprawy.

Kochał ją całą.

— Do widzenia — rzekł cicho.

— Żegnaj, Ben.



Rodzinna Kanapka

Kiedy Ben dotarł do domu, zauważył, że na podjeździe nie było ich brązowego autka. Dokąd rodzice mogli pojechać o tej porze?

Tak czy owak, wspiął się po rynnie, a potem wszedł przez okno do swojego pokoju.

Całe to gramolenie się to niezła harówka, szczególnie, że całą noc nie spał i bardzo ciążył mu kombinezon do nurkowania. Ben przesunął „Tygodniki Hydraulika”, żeby wcisnąć strój pod łóżko. Najciszej jak potrafił, włożył piżamę i umościł się wygodnie w pościeli.

Gdy już miał zamknąć oczy, usłyszał, że pod dom podjechał samochód. Skrzypnęły drzwi wejściowe i rozległ się niepohamowany szloch obojga rodziców.

— Szukaliśmy wszędzie — powiedział Tata, siąkając nosem. — Nie wiem, co robić.

— Byłam głupia, to wszystko moja wina — dodała Mama przez łzy. — Nie powinniśmy byli zgłaszać go do tego konkursu. Na pewno uciekł z domu...

— Zadzwońię po policję.

— Tak, tak trzeba, już kilka godzin temu powinniśmy byli to zgłosić.

— Cały kraj postawimy na nogi i w końcu go znajda... Halo, halo, z policją proszę...

Chodzi o mojego syna... Nie mogę odnaleźć mojego syna.

Ben czuł się potwornie winny. Rodziców jednak OBCHODZIŁO, co się z nim dzieje. Mocno.

Wyskoczył z łóżka, z impetem pchnął drzwi pokoju i zbiegł po schodach prosto w ich ramiona.

— Och, synku! Mój synku! — rzekł Tata.

Uściskał Bena mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. Mama także objęła chłopca, aż w końcu stworzyli jedną dużą, rodzinną kanapkę z Benem pośrodku.

— Och, Ben, dzięki Bogu wróciłeś! — zawodziła Mama. — Gdzieś ty się podziewał?

— Byłem z Babcią — odpowiedział Ben, nie zdradzając im całej prawdy. — Ona... ona jest bardzo chora — dodał ze smutkiem. Ale po twarzach rodziców widział, że dla nich nie były to zaskakujące wieści.

— Tak... — powiedział Tata, czując się niezręcznie. — Obawiam się, że...

— Wiem — przerwał mu Ben. — Nie mogę uwierzyć, że mi nie powiedzieliście. To przecież moja babcia!

— Owszem — odparł Tata. — Jest też moją mamą. Przepraszam, że ci nie powiedziałem, synu, nie chciałem cię martwić...

Nagle Ben dostrzegł w oczach ojca ból.

— W porządku, Tato — powiedział.

— Razem z Mamą całą noc cię szukaliśmy — dodał Tata, ściskając syna jeszcze mocniej. — Nigdy nie przyszło nam do głowy, żeby sprawdzić u Babci. Zawsze mówiłeś, że jest nudna.

— Ale nie jest. To najlepsza babcia na świecie.

Tata uśmiechnął się.



— To bardzo miłe, synku. Ale jednak mogłeś nam powiedzieć, gdzie jesteś.

— Przepraszam. Po tym jak tak strasznie was zawiodłem na konkursie tanecznym, myślałem, że wam na mnie nie zależy.

— Nie zależy? — powtórzył wstrząśnięty Tata. — My cię kochamy!

— Bardzo cię kochamy, Ben! — dodała Mama. — Nigdy nawet nie myśl, że może być inaczej. Kogo obchodzi głupi konkurs taneczny prowadzony przez Flavio Flaviolego? Cokolwiek robisz, zawsze jestem z ciebie dumna.

— Oboje jesteśmy dumni — rzekł Tata. Wszyscy troje płakali i śmiali się, i ciężko było rozpoznać, czy były to łzy szczęścia, czy smutku. Pewnie było i tak, i tak.

— Może pójdziemy do Babci na herbatę? — zaproponowała Mama.

— Tak. Byłoby fajnie — odparł Ben.

— Wiesz... rozmawialiśmy z Tatą — powiedziała Mama, biorąc syna za rękę. — Bo znalazłam twoje czasopisma o hydraulice.

— Ale...

— Wszystko dobrze, Ben. Nie musisz się niczego wstydzić. Jeśli takie jest twoje marzenie, to nie wahaj się!

— Naprawdę? — spytał Ben.

— Tak! — poparł ją Tata. — Chcemy, żebyś był szczęśliwy.

— Tylko, że... — mówiła dalej Mama — razem z Tatą jesteśmy zdania, że bycie hydraulikiem nie gwarantuje prawdziwej kariery, dlatego bardzo ważne jest, żebyś miał jakiś plan awaryjny...

— Plan awaryjny? — spytał Ben, nie nadążając za logiką Mamy.

— Tak — powiedział Tata. — Wiemy, że tańce towarzyskie nie są dla ciebie...

— Nie — zgodził się z ulgą Ben.

— A co powiesz na taniec na lodzie? — spytała Mama.

Ben gapił się na nią.

Przez długą chwilę Mama patrzyła mu prosto w oczy, aż w końcu nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem. Tata też zaczął się śmiać, a choć Ben nadal miał twarz mokrą od łez, szybko do nich dołączył.

Cisza

Po tej przygodzie relacje Bena z rodzicami znacznie się poprawiły. Tata nawet poszedł do sklepu i kupił mu trochę narzędzi. Spędzili razem niezwykle przyjemne popołudnie, demontując kolanko pod umywalką.

A potem, na tydzień przed Świętami, ciemną nocą, zadzwonił telefon.

Parę godzin później wszyscy troje zebrali się przy łóżku Babci. Była w hospicjum, miejscu, do którego trafiają ludzie, których szpital nie jest w stanie dalej leczyć. Nie zostało jej już wiele życia. Zaledwie godziny. Pielęgniarki powiedziały, że może odejść w każdej chwili.

Ben siedział niespokojnie przy łóżku Babci. Mimo tego, że oczy miała zamknięte i wydawało się, że nie zdoła wypowiedzieć ani słowa, siedzenie z nią w tym pokoju było bardzo silnym przeżyciem.

Tata chodził od ściany do ściany, niepewny, co zrobić lub powiedzieć. Mama jedynie przyglądała się, bezradna.

Ben po prostu trzymał Babcię za rękę.

Nie chciał, by odchodziła w mrok sama.

Przysłuchiwali się jej chropawym oddechom. To był złowróżbny dźwięk. Ale było coś jeszcze gorszego.

Cisza.

Oznaczałaby koniec.

Wtem, ku zaskoczeniu wszystkich, Babcia mrugnęła i otworzyła oczy. Uśmiechnęła się, widząc ich troje razem.

— Jestem... bardzo głodna — powiedziała słabiutkim głosem. Sięgnęła pod pościel, wyjęła coś zawiniętego w folię i zaczęła rozpakowywać.

— Co to jest? — spytał Ben.

— Kawalek ciasta z kapustą — sapnęła Babcia. — Jedzenie tutaj dają naprawdę

OKROPNE.

Nieco później Mama i Tata poszli po kawę z automatu. Ben nie chciał zostawiać Babci choćby na sekundę. Ujął jej dłoń. Była sucha i taka lekka.

Babcia odwróciła się wolniutko w jego stronę. Ben widział, że staruszce kończy się czas. Puściła do niego oko.

— Zawsze będziesz moim małym Bennym — szepnęła.

Ben przypomniał sobie, jak kiedyś nie znosił tego imienia. Teraz je kochał.

— Wiem — odpowiedział z uśmiechem. — A ty zawsze będziesz moją Babcią-Rabusem.



Wracali z hospicjum w ciszy. Zmęczeni od płaczu. Widzieli ludzi robiących świąteczne zakupy, drogi pełne samochodów, a przed kinem długą kolejkę. Ben nie mógł uwierzyć, że życie

toczyło się jak zwykle, gdy dopiero co wydarzyło się coś tak ważnego.

Samochód skręcił za rogiem i zbliżył się do niewielkiego ciągu sklepów.

— Czy mógłbym wstąpić do kiosku? — spytał Ben. — Tylko na chwilę.

Tata zaparkował, a Ben pośród lekko prószonego śniegu ruszył sam do sklepu Raja.

DZYSIĄ odezwał się dzwonek, gdy otworzył drzwi.

— Aa, młody Ben! — zawołał Raj. Zauważył smutną minę chłopca. — Czy coś się stało?

— Tak, Raj... — bąknął Ben. — Moja babcia właśnie zmarła. — Powiedzenie tego na głos sprawiło, że znów się rozplakał.

Raj wyszedł zza lady i mocno przytulił chłopca.

— Och, Ben, tak mi przykro. Od dłuższego czasu jej nie widywałem i przypuszczałem, że nie czuła się najlepiej.

— No właśnie. Raj, chciałem tylko powiedzieć — zaczął Ben między jednym chlipnięciem a drugim — że jestem ci bardzo wdzięczny za to, że przemówiłeś mi wtedy do rozsądku. Miałaś rację, ona wcale nie była nudna. Była niesamowita.

— Nie próbowałem natrzeć ci uszu, chłopcze. Pomyślałem tylko, że pewnie nigdy nie spróbowałeś jej lepiej poznać.

— Była najwspanialszą babcią na świecie. Nawet sobie nie wyobrażałem jak wspaniała. — Ben otarł łzy rękawem.

— Czekaj... — Raj zaczął przeszukiwać sklep. — Miałem tu gdzieś paczkę chusteczek. Gdzie one się podziały? Aha, są, pod naklejkami futbolowymi. Proszę bardzo.

Mężczyzna otworzył paczkę i podał ją Benowi, który wytarł oczy.

— Dzięki, Raj. Czy to dziesięć paczek chusteczek za cenę dziewięciu? — spytał z uśmiechem.

— Nie, nie, nie! — zachichotał Raj.

— Piętnaście za cenę czternastu?

— Nie zrozumiałeś — powiedział, kładąc dłoń na ramieniu Bena. — Są na koszt firmy.

Ben wpatrywał się w Raja, który jeszcze nigdy w historii nie oddał niczego za darmo. To było niesłychane. Istne szaleństwo. To... mogło sprawić, że jeśli nie będzie czujny, znowu zacznie płakać.

— Wielkie dzięki, Raj — rzekł szybko, wzdychając głęboko. — Lepiej wrócę do rodziców. Czekają pod kioskiem.

— Ale jeszcze chwileczkę cierpliwości — rzekł Raj. — Mam tu gdzieś dla ciebie świąteczny prezent. — Zaczął szperać po zapchanych półkach. — Gdzie to może być?

Benowi zaświeciły się oczy. Uwielbiał prezenty.

— Tak, tak, powinno być tutaj, zaraz za jankami wielkanocnymi. Znalazłem! — zawołał Raj, wyciągając paczkę miętówek Murraya.

Ben był nieco zawiedziony, ale robił, co mógł, żeby to ukryć.

— O rany! Dzięki, Raj — powiedział, wykorzystując wszystkie umiejętności ze szkolnych przedstawień. — Cała paczka miętówek Murraya.



— Nie, tylko jedna miętówka — rzekł Raj, otwierając paczkę, wyjmując pojedynczą miętówkę i podając ją Benowi. — Twoja Babcia je uwielbiała.

— Wiem — odparł Ben z uśmiechem.

Balkonik

Pogrzeb odbył się w Wigilię. Ben nigdy wcześniej nie był na pogrzebie. Uznał to za dziwaczne wydarzenie. Z trumną leżącą w kościele, żałobnikami mamroczącymi nieznanymi hymnami i pastorem, który wygłaszał nużącą mowę o Babci, której nigdy nie spotkał.

To nie była wina pastora, ale równie dobrze mógł głądzić o każdej innej staruszce, która właśnie zmarła. Monotonnym głosem snuł wywody o tym, jak to lubiła odwiedzać stare kościoły i zawsze była dobra dla zwierząt.

Ben miał ochotę krzyknąć. Chciał powiedzieć wszystkim, mamie i tacie, wujom i ciotkom, wszystkim, jaką bombową była babcia.

O tym, jakie potrafiła opowiadać niesamowite historie.

A przede wszystkim chciał opowiedzieć im, jaką wspaniałą przeżyli razem przygodę, i jak to omal nie ukradli Klejnotów Koronnych, i jak spotkali Królową.

Ale nikt by nie uwierzył jedenastolatкови. Stwierdziliby, że wszystko to zwyczajnie zmyślił.

Większość ludzi, która zgromadziła się w kościele, przyjechała po ceremonii do ich domu. Pili jedną filiżankę herbaty za drugą, jedli talerz za talerzem kanapek i pasztecików. Świąteczne dekoracje wydawały się być zupełnie nie na miejscu. Z początku ludzie gawędzili o Babci, ale wkrótce plotkowali już o innych rzeczach.

Ben siedział samotnie na kanapie, słuchając gadania dorosłych. Babcia zostawiła mu wszystkie swoje książki, których całe stopy zapychały jego sypialnię. Kusilo go, żeby się tam z nimi schować.

Po jakimś czasie, jakaś starsza pani, wspierając się na balkoniku, przeszła powoli przez pokój i siadła na sofie obok Bena.

— Ty pewnie jesteś Ben. Nie pamiętasz mnie, prawda? — spytała.

Popatrzył na nią przez chwilę.

Miała rację.

— Ostatni raz widziałam cię w twoje pierwsze urodziny.

Nic dziwnego, że nie pamiętam!, pomyślał Ben.

— Mam na imię Edna, jestem kuzynką Babci — powiedziała. — Bawiłyśmy się razem, gdy byłyśmy mniej więcej w twoim wieku. Parę lat temu przewróciłam się i już nie dawałam sobie rady sama, więc umieszczono mnie w domu starców. Tylko twoja babcia mnie tam odwiedzała.

— Naprawdę? Myśleliśmy, że nigdzie nie wychodziła — powiedział Ben.

— Cóż, przychodziła raz w miesiącu. Nie było jej łatwo. Cztery razy musiała się przesiadać z autobusu do autobusu. Byłam jej za to ogromnie wdzięczna.

— To była wyjątkowa kobieta.

— Tak, to prawda. Niezwykle dobra i troskliwa. Widzisz, ja nie mam dzieci ani

wnuków, dlatego razem z twoją babcią godzinami przesiadywałyśmy w salonie domu starców i grywałyśmy w scrabble.

— Scrabble?

— Tak. Opowiadała mi, że ty też bardzo lubisz tę grę — powiedziała Edna.

Ben nie mógł się nie uśmiechnąć.

— Tak, bardzo lubiłem z nią grać.

I ku swojemu zaskoczeniu, zdał sobie sprawę, że nie skłamał. Patrząc wstecz, widział, że naprawdę mu się to podobało. Teraz, gdy Babci już nie było, każda spędzona z nią chwila wydawała się cenna. Cenniejsza niż Klejnoty Koronne.

— Nigdy nie przestawała o tobie opowiadać — odezwała się Edna. — Twoja kochana babcia mówiła, że byłeś światłem jej życia. Zawsze z niecierpliwością czekała na piątkowe wieczory i twój przyjazd. To była dla niej najlepsza część tygodnia.

— Dla mnie też.

— Cóż, jeśli lubisz scrabble, musisz wpaść kiedyś do domu starców na partyjkę. Teraz, gdy zabrakło twojej babci, potrzebuję nowego partnera.

— Byłoby fajnie — odparł Ben.

Tego wieczoru, gdy jego rodzice oglądali specjalne, świąteczne wydanie Tańca najslawniejszych sław, Ben wymknął się przez okno swego pokoju i zsunął w dół po rynnie. Bezszelestnie wyjął rower z garażu i po raz ostatni pojechał do domu Babci. Pożegnać się z nią jeszcze raz. Tylko on i Babcia, jak w Twierdzy Jej Królewskiej Mości.

Padał śnieg. Skrzypiał pod kołami roweru.

Ben przyglądał się, jak śnieżynki lądują miękko na ziemi, ledwie patrząc, dokąd jedzie. Znał już tę trasę na pamięć. Przez ostatnie miesiące jeździł do babci tyle razy, że wiedział o każdej szczelinie i wyboju na drodze.

Zatrzymał rower przed małym domkiem. Dach pokrywał biały puch. Przed wejściem piętrzyła się sterta niepotrzebnych przesyłek pocztowych, w środku było zupełnie ciemno, a na podwórku stała pokryta soplami tablica z napisem „NA SPRZEDAŻ”.

Mimo tego Ben niemal spodziewał się, że zobaczy Babcię w oknie.

Jak patrzy na niego z tym pełnym nadziei uśmiechem.

Ale oczywiście jej tam nie było. Odeszła na zawsze.

Ale nie z jego serca.

Ben otarł łzę, odetchnął głęboko, i pojechał do domu.

Pewnego dnia będzie mógł opowiedzieć swoim wnukom prawdziwie łotrykowską historię.

Posłowie

— Święta Bożego Narodzenia to wyjątkowy czas w roku — powiedziała Królowa. Była tą normalną, poważną sobą. Siedziała majestatycznie na zabytkowym krześle w Pałacu Buckingham. Raz jeszcze wygłaszała doroczne orędzie do narodu.

Mama, Tata i Ben właśnie skończyli świąteczny lunch i zasiedli razem na kanapie z kubkami herbaty, żeby jak co roku, obejrzeć Królową w telewizji.

— To czas dla rodzin, by mogły zjednoczyć się i świętować — kontynuowała Jej Wysokość. — Jednakże nie zapominajmy o osobach starszych. Kilka tygodni temu, będąc z Londyńskiej Tower, poznałam pewną panią w moim wieku oraz jej wnuka.

Zakłopotany Ben wiercił się na kanapie.

Zerknął na rodziców, lecz oni nieświadomi niczego niezwykłego, oglądali dalej.

— To spotkanie uświadomiło mi, że młodzież powinna okazywać starszym więcej dobroci. Może po obejrzeniu tego programu ustąpicie starszej osobie miejsca w autobusie. Lub pomożecie nieść zakupy. Może zagrać z nami w scrabble lub raz na jakiś czas podarujecie w prezencie paczkę miętówek Murraya. My, starzy, uwielbiamy czasem possać sobie dobrą miętówkę. A przede wszystkim, młodzi rodacy, pamiętajcie o tym, że my, ludzie starsi, z pewnością nie jesteśmy nudni. Nigdy nie wiadomo, możemy was jeszcze kiedyś niezłe zaskoczyć.

A potem z psotnym uśmiechem Królowa podwinęła spódnicę i błysnęła wszystkim po oczach reformami z brytyjską flagą.



Mama i Tata ze zdumienia aż prychnęli na dywan herbatą.

Lecz Ben tylko się uśmiechnął. *Królowa też ma zadatki na niezłego rabusia, pomyślał. Zupełnie jak moja Babcia.*



Przypisy

Przypisy

[1] Raj — wym. „Radż”, imię męskie pochodzenia hinduskiego, oznaczające „księcia” (przyp. tłum.).

[2] Miniaturowe grzanki do jajek na miękko, o których mowa, zwane w Anglii „żołnierzami” — ang. „soldiers”, to pokrojone w paski tosty, które macza się w ugotowanym jajku, a ułożone jeden obok drugiego przypominają stojących na baczność żołnierzy (przyp. tłum.).

[3] *prejudice* — ang. uprzedzenie, stronniczość, negatywne nastawienie (przyp. tłum.).

[4] ang. Tower of London (przyp. tłum.).

[5] *Scotland Yard* — policja w Londynie; po polsku nazwa oznacza „szkocki dziedziniec”, pochodzi od nazwy ulicy przy której komenda mieściła się w XIX wieku i od nazwy pałacu, który we wczesnym średniowieczu był siedzibą królów Szkocji podczas ich pobytu w Anglii (przyp. tłum.).

[6] *fudge* — ang. krówka ciągutka (przyp. tłum.).

[7] *Tower Green* — ang. zielona wieża; odosobnione miejsce wewnątrz Tower w którym znajdował się szafot i gdzie dokonywano egzekucji nieprzeznaczonych dla oczu gawiedzi, tak jak w przypadku członków rodziny królewskiej (przyp. tłum.).

[8] *ER* — „Elizabetha Regina”, czyli królowa Elżbieta, inicjały odnoszą się do obecnie panującej Królowej Elżbiety II (przyp. tłum.).

